Nr. 282. Lwów — Piątek dnia 6 Grudnia. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na Prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne" jako to o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy — dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie opisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
W Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ.
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach" za każde słowo drukiem petitowem po 2 ct.
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowem po 5 ct.
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . . . 20 „
Nekrologia . . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu" przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW" ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: 6 | św. Mikołaja | Kateryny
Jutro: 7 | św. Ambrożego | Klymenta

Adres Redakcyi i Administracyi: **Ulica Sykstuska l. 45.**

Naczelny Redaktor i Wydawca: **LUDWIK MASŁOWSKI.**

Wschód słońca g. 7 m. 41 | Długość dnia g. 8 m. 19
Zachód „ „ 4 „ 0 | Ubyło dnia od wczoraj 1 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 6 grudnia.

Równo 25 lat temu zebrał się w Berlinie po raz pierwszy parlament niemiecki, — drugi, obok cesarskiej korony zewnętrzny wyraz narodowej jedności, okupionej krwią, przelaną na francuskiej ziemi. W świetnym orszaku „starego cesarza", który otwierał wówczas parlament, znajdowali się książę Rzeszy, następca tronu Fryderyk, ozdobiony laurami zwycięzcy, Bismark, Moltke, Roon i inni paladyni tej pamiętnej epoki; duchem był tam i cały naród, który wielkie nadzieje przywiązywał do swej państwowej jedności i do tego parlamentu, który owe nadzieje miał spełnić; w powietrzu brzmiały jeszcze natchnione pieśni poetów, począwszy od Goethego i Szyllera, który w marzeniach swych widział Germanię jako potężną promienną nie w szyszaku, ale w wieńcu laurowym na głowie, nie z mieczem, lecz z gałązką oliwną w ręku. Wielka przyszłość miała, podług głębokiego przekonania wszystkich, rozwinąć zalety niemieckiego narodu, rzeczywiście cnoty i zdolności, a wytępić wady dworactwa i drobiazgowości, będące — jak mniemano — następstwem rozczłonkowania narodowego. Lecz nadzieje po to jedynie istnieją, aby były zawody. Naród, który całe serce włożył w swą jedność i rozumiał ją jako zgodę, płynącą z miłości, nie przeczuwał, że Bismark już chował w zanadrzu rozbrat wojny religijnej, które jeszcze nie dawno tak wygrzewał na swej piersi, a potem wypuścił na niemiecką ziemię. Zamiast pracowitej ciszy, nastało zawichrzenie, zamiast braterskiej zgody ciągła kłótnia i zwada, potem rozgoryczenie, w końcu to i owdzie odraza do jedności i pragnienie powrotu do dawnych stosunków, do ponownego rozczłonkowania całości. Więc po trzynastu latach tej wściekłej walki przeraził się Bismark jej skutków i zatrąbił zgodę, ogłaszając pochód do Canossy, lecz sam, bo następca tronu już nie chciał. Na pustkowiu, powstałem po wykarczowaniu religijnego uczucia, rozrósł się bujnie chwast socyalizmu i podniósł na własną rękę tępić i to, czego nie wytępił do szczętu Bismark, i to, co sam wytworzył: cesarstwo, militaryzm, ustrój liberalny. Więc dalej trwała walka, tylko na innem polu, ale tak samo szkodliwa. Jak przedtem przeciw katolikom, tak potem przeciw socyalistom zaczęto kuć wyjątkowe ustawy. I skoro hasła miłości nie wskórały, aby pojąć potęgę, proklamowano nową zasadę: „Racya stanu" zastąpiła cały kodeks moralny i wszelkie ludzkie uczucia. Biada słabym, pokonanym nie ubranym w pikelhaubę! To brzmiało wówczas w Berlinie i takiem echem napełniło powietrze, że nikt nie słyszał, iż to pokój o racyi stanu [illegible] sam Bismark wszystkich [illegible] z którymi on walczył. Zaczęły się zrywać anarchiczne podmuchy [illegible] wystąpił z zapałem dla jedności, zrażony do policyjnych rządów, [illegible] w Berlinie smoka, który zjada całą pomyślność licznych stolic krajowych, jest obojętny, sceptyczny i szydzący. Wtedy-to wstąpił na tron Wilhelm II, człowiek z porywami szlachetnymi i z wielkiem poczuciem monarszych obowiązków. Jemu Germania przedstawiała się jeszcze w tęczowych blaskach — jak niegdyś poetom; więc zaczął siać ziarna zgody; obiegł wszystkie dwory niemieckie, odwiedził i obce, pomyślał o naprawie stosunków robotniczych, pierwszy z pruskich monarchów nie wstąpił do loży masońskiej, lecz przeciwnie zaczął podnosić znaczenie religii — i w tem wszystkiem natrafiał na opór Bismarka. Więc złamał go, co niezawodnie i bolesne dlań było i odważne. Ale pewnie liczył, że jedno to wystarczy do obudzenia dawnego uczucia narodowego dla jedności. Widocznie jednak choroba społeczna głęboko się wżarła w narodowy organizm, bo „nowy kurs" zawiódł i dwudziesto-pięciolecie cesarstwa, obchodzone na wiosnę, dało smutny obraz powszechnego zniechęcenia, niezagojonych uraz i czczości, której nie zdołała osłonić pompa.

Więc otwarta teraz jubileuszowa sesya parlamentu niemieckiego nie zachęciła do żadnej uroczystości. Cesarz zawczasu usunął się ze stolicy, a mowa tronowa, którą zamiast niego odczytał kanclerz, była sucha i nawskróś urzędowa. Wyliczono w niej kilka projektów, które rząd opracował, wspomniano o dyplomatycznej akcyi w sprawie Chin z Japonią, zaznaczono zgodność mocarstw w kwestyi tureckiej, stereotypowy frazes rzucono o przyjaznych na wszystkie strony stosunkach, ale ani słówka nie poświęcono samemu jubilatowi, tej izbie reprezentantów narodu, która jest obok korony zewnętrznym wyrazem zjednoczenia Germanii, przedstawiającej się już nawet posłom nie w laurach, lecz w szyszaku na głowie, nie z gałązką oliwną, lecz z ostrym obosiecznym mieczem w dłoni, — obosiecznym dlatego, że jak sam cesarz nieraz powiedział, posłuży on przeciw zewnętrznym, ale także i przeciw wewnętrznym wrogom, których przed 25ciu laty nie było.

Różnica ogromna i pewnie ani przeczuwana przez paladynów, którzy tworzyli świetny orszak „starego Wilhelma", gdy on po raz pierwszy otwierał parlament zjednoczonych Niemiec.

Ale ta różnica sięga głębiej. Jak w całym narodzie, tak i w parlamencie nie ma zgody, nie ma zastępu, ktoryby wyrażał większość opinii. Mnóstwo stronnictw składa się na tę izbę, a każde z nich na wszystkie inne spogląda nieufnie i myśli nie o całości państwa, lecz przedewszystkiem o własnych interesach. Ani rząd nie posiada większości, ani nawet prezydyum izby, złożone z dwóch katolików i jednego postępowca, czyli członka tego stronnictwa, które wyznaniu religijnemu nie daje żadnego miejsca w życiu państwowem. Taki skład prezydyum jest dziwaczny, więc były starania, aby zmienić go w ten sposób, iżby u stołu prezydyalnego zasiedli tylko katolicy i konserwatyści, ci jednak ostatni odrzucili propozycyę centrum, bo nie chcieli dać pozoru, jakoby z katolikami mieli cokolwiek wspólnego. Więc nawet prezydyum jest niem od biedy, bo wyszło z łona obozu, liczącego czwartą część izby i nielubianego przez tamte trzy ćwierci, z łona stronnictwa, które Bismark nazywał „notorycznie" wrogiem państwa i które równie nienawidzą protestanci, uważający, że Niemcy są państwem luterskiem, liberałowie, oddani masoństwu, postępowcy i socyaliści, odrzucający wszelką religię. A jednak to stronnictwo centrum, w sojuszu z pokrewnemi mu frakcyami narodowemi, jest panującem w izbie; wprawdzie samo jedno nic nie może przeprowadzić, ale także wbrew jego woli nic się stać nie może. To krępuje wszystkich, zarówno rząd, jak stronnictwa, bo każda ustawa ministeryalna, każdy wniosek któregokolwiek obozu musi być okupywany ustępstwami na wszystkie strony. Zamiast pracy podług wytkniętego kierunku będą tedy ustawiczne targi i oczywiście uchwalane będzie tylko to, co jest najmniej zasadnicze. To osłabia energię.

Nadto posypią się drażliwe interpelacye: junkrowie drżą na samą myśl o tem, że poruszona będzie skandaliczna afera Hammersteina, rząd oczekuje z niepokojem rozprawy nad administracyjnymi środkami przeciw socyalistom, a tę rozprawę, dla dodania jej ognia, poprzedzono już pogłoskami o siarczystem starciu kanclerza z ministrem Köllerem i o cesarskim gniewie na tego ministra, który jakoby ma otrzymać dymisyę za to, czego przecie nie mógł zrobić na własną rękę; liberałowie i postępowcy widzą ruch wsteczny w opracowanej przez rząd ustawie o organizacyi rzemiosł i w rozporządzeniach ministra Bossego, dotyczących uniwersytetów. Słowem, wszyscy są niezadowolnieni i spodziewają się tylko niemiłych starć i rzeczy, a tak jest nietylko w parlamencie, lecz także wśród publiczności. I to jest dar jubileuszowy dla narodu, długo kołysanego pieśniami poetów o szczęściu zjednoczenia, które on okupił strumieniami krwi na francuskich polach.

Paryżanie już mają przedsmak wznowionej Panamy. Na podstawie dokumentów znalezionych u Souligoux, o którego aresztowaniu donieśliśmy przed kilku dniami, rozpoczęło się śledztwo, prowadzone przez specyalnie zamianowanego dla tej sprawy sędziego, który już wezwał do siebie wielu wybitnych parlamentarzystów i następnie nad niektórymi z nich kazał roztoczyć dozór policyjny. Spotkało to byłego ministra w gabinecie Boulangera, a teraźniejszego senatora Théveneta, który jednak rozpoczął w dziennikach ostrą kampanię przeciwko rządowi, zarzucając mu, iż chce zniesławić jego czyste imię, gdyż całemu Paryżowi wiadomo, że z Panamą nie miał on żadnych stosunków, a jeśli u Souligoux znalazł się talon od czeku na jego imię, to zapewne pochodzi to stąd, iż jako adwokat otrzymywał honorarya przez banki, a nieraz przez agentów giełdowych, co jakoby często się praktykuje. Mógł więc otrzymać jakąś sumę i przez Souligoux, którego jednak nie zna. Kiedy wszakże sędzia zwrócił jego uwagę, że czek na jego imię wynosił 50 tysięcy franków, a zatem wcale nie „jakąś sumę", o której można zapomnieć, wówczas Thévenet oświadczył, iż rzeczywiście odebrał takie pieniądze, lecz nie dla siebie, a e dla jakiegoś klienta swego Martin'a, a co to były za pieniądze i gdzie ów Martin się obraca, tego nie wie. — Inny z owych czasów minister Feliks Granet opuścił Francyą i podobno widziano go w Konstantynopolu, skąd się wybierał gdzieś daleko na Wschód.

Kwestya adresu.

Praski komitet wykonawczy stronnictwa młodoczeskiego ogłasza komunikat, według którego przystaje na oddanie dwóch krzeseł w Wydziale krajowym stronnictwu niemieckiemu, na wybór odpowiedniej liczby posłów niemieckich do wszystkich komisyi sejmowych, tudzież na mianowanie wicemarszałkiem jednego z posłów niemieckich. To ostatnie należy wyłącznie do kompetencyi rządu, co zaś do wyboru dwóch posłów niemieckich do wydziału krajowego, to oczywiście zupełne wykluczenie Niemców, którzy tworzą $2\frac{1}{2}$ miliona ludności kraju, gdy Czesi tworzą $3\frac{1}{2}$ miliona, byłoby niemożliwem, napotkałoby na veto kuryi wielkich posiadłości, względnie, dokonane, pociągnęłoby za sobą natychmiast wystąpienie posłów niemieckich z sejmu krajowego. Pojednawczość, którą okazał komitet młodoczeski, lubo nie może olśnić bezstronnych a obeznanych ze stosunkami obserwatorów, zawsze przecież działa korzystniej, niż tromtadracya *Narodnich Listów*, które temi dniami dlatego radowały się z wyboru 10 posłów stronnictwa niemiecko-narodowego (à la Iro), ponieważ to... zapowiada namiętne walki w sejmie!

Zupełnie sytuacya w nowym sejmie wyjaśni się dopiero na tle kwestyi adresu. Wielu bowiem utrzymuje, że młodoczesi zaproponują znowu adres, domagający się przywrócenia historycznego prawa, t. j. połączenia Czech, Morawii i Szląska i obdarzenia ich zupełnym samorządem, a zatem radykalnej zmiany konstytucyi austryackiej. Że stronnictwo niemieckie, „wiernokonstytucyjne", głosować będzie przeciwko takiemu adresowi, rozumie się samo przez się. Zachodzi więc tylko pytanie, jak wobec wniosku takiego adresu zachowa się kurya wielkiej posiadłości, rozstrzygająca swemi 70 głosami o większości w sejmie?

Aby ocenić należycie doniosłość tego pytania, trzeba pamiętać o tem, że w listopadzie r. 1889, właśnie ta sama sprawa sprowadziła przesilenie w rządach hr. Taaffego. Wówczas w nowowybranym sejmie p. Juliusz Gregr zaproponował adres z wymienionemi powyżej żądaniami. Posłowie niemieccy, od grudnia 1886 nie zasiadali w sejmie. Chodziło więc tylko o to, jak wobec wniosku p Gregra zachowają się posłowie kuryi wielkiej posiadłości i staroczesi, których wtedy w sejmie było jeszcze 50? Otóż te dwie frakcye, należące wówczas do większości ministeryalnej w Radzie państwa, rozumiały doskonale że uchwalając podobny adres, dopuściłyby się demonstracyi przeciwko hr. Taaffemu. Zamiast jednak wprost odrzucić adres p. Gregra, uchwaliły rezolucyę, która wygłaszała mniej więcej te same żądania, tylko z tem zastrzeżeniem, że wybór chwili przywrócenia historycznego prawa Czech pozostawiają rządowi.

Tym sposobem kurya wielkich właścicieli i staroczesi pragnęli ominąć Scyllę demonstracyi przeciwko Taaffemu i Charybdę zrażenia sobie podburzonej przez młodoczechów ludności czeskiej. Dyplomacya ta jednak zawiodła. Skoro bowiem marszałek wygłosił 10 go listopada, że zamiast adresu Gregra, Sejm 113 głosami przeciwko 37 uchwalił rezolucyę, wszczęła się straszna wrzawa na galeryach. Odezwały się stamtąd głosy: „Hańba wam! Tchórze, gałgany, wy to chcecie być Czechami!" Panie przestraszone uciekają z galeryi. Książę marszałek daremnie dzwoni. Książę Karol Schwarzenberg wskazując na galerye, woła do posłów młodoczeskich: „Oto wasi sprzymierzeńcy!" Posłowie młodoczescy odpowiadają: „Wy zawiniliście ten skandal". Wreszcie z rozkazu marszałka wypróżniono galerye. Na uwagę z ław staroczeskich: „Wstydźcie się, uwodziciele młodzieży!", posłowie młodoczescy odpowiadają: „Milczcie wy, którzy sprzedajecie święte prawa narodu". Odtąd odrzucenie adresu Gregra, chociaż rezolucya opiewała to samo, staroczechom wytykano jako „zdradę" i tym środkiem najskuteczniej przeciwko nim agitowano.

Z drugiej strony, naturalnie, niemiecka lewica już na pierwszem posiedzeniu Izby poselskiej 3 grudnia r. 1889 wniosła interpelacyę, co rząd sądzi o rezolucyi Sejmu czeskiego? Hr. Taaffe 17-go grudnia odpowiedział, że:

> „jakkolwiek zmiana konstytucyi w drodze legalnej jest dozwolona, gdy tego wymaga dobro państwa, jednak na teraz interes państwa wymaga przedewszystkiem spokojnego i normalnego rozwoju na podstawie konstytucyi; obecna chwila nie jest stosowną do przeprowadzenia zmian w konstytucyi, a zatem rząd nie zamierza zalecić J. Ces. Mości zasadniczych zmian, ani postawionej z niemi w związku koronacyi".

Hrabia Taaffe nie mógł odpowiedzieć inaczej i już 10 listopada każdy obeznany jako tako ze stosunkami politycznymi poseł czeski wiedział doskonale, że tylko tak odpowie. Staroczechom po tej odpowiedzi Taaffego pozostało tylko, albo natychmiast przejść do opozycyi i połączyć się z młodoczechami, albo też nie przejść wyraźnie do opozycyi przeciwko Taaffemu, ale zrazić sobie zupełnie wyborców. Jedna jak druga alternatywa była równie złą, — staroczesi wybrali drugą i upadli. Taaffe zaś, wobec rozbicia klubu czeskiego był zmuszony tem więcej zbliżyć się do niemieckiej lewicy.

Tak dobitnie owa kwestya adresu Sejmu czeskiego w r. 1889 oddziałała na ogólną politykę państwową. To też nowe wydanie tej kwestyi budzi powszechne zajęcie. W dyskusyi nad adresem Gregra, w listopadzie r. 1889, ks. Windischgraetz po namiętnej mowie wnioskodawcy oświadczył, że, gdyby ponownie zaproponował taki adres, szlachta historyczna nie mogłaby go odesłać ani do komisyi. W ostatnich latach kurya wielkich posiadłości w zgodzie z stronnictwem niemieckiem zdołała kilka razy zapobiedz ponownemu wejściu sprawy adresowej na porządek dzienny Sejmu, jak się zachowa względem tej kwestyi w nowym Sejmie? — trudno dziś powiedzieć.

O naszych gimnazyach.

Podaliśmy przed kilku dniami głos tak kompetentnego znawcy, jak hr. Tarnowskiego. Posłuchajmy teraz, co w tej sprawie pisze w *N. Reformie* inny również bardzo kompetentny mąż p. Bronisław Trzaskowski, długoletni dyrektor gimnazyum w Tarnowie:

„Członek Rady szkolnej krajowej, St. hr. Tarnowski, umieścił w numerze 250 *Czasu* artykuł o sprawach szkolnych, w którym stara się oczyścić nasze szkoły średnie z zarzutów — jak sądzi — najważniejszych, jakie się nieraz dają słyszeć.

Z zarzutem tyczącym się częstej zmiany książek i ich drogości, z zarzutem odnoszącym się do przeciążenia uczniów i z zarzutem co do złego założenia i utrzymania budynków szkolnych rozprawił się p. Tarnowski, zdaniem naszem, zwycięsko. Wszystkie te zarzuty nie mają dzisiaj rzeczywiście podstawy wobec tego, czego władze szkolne w tym kierunku już dokonały i co jeszcze w najbliższym czasie uczynić zamierzają. Mianowicie wskazał szanowny autor bardzo trafnie na właściwe przyczyny przeciążenia uczniów, jeżeli się ono tu i ówdzie zdarza, a temi są: brak warunków uczęszczania do szkół średnich u wielu uczniów, miękkość domowego wychowania i niewłaściwy sposób postępowania przy nauce ze strony niektórych nauczycieli. Z naszej strony dodajemy, że posuwając do klas wyższych uczniów nieprzygotowanych należycie sama szkoła staje się przyczyną ich przeciążenia w tych klasach, jeżeli wymaganiom wyższych studyów należycie odpowiedzieć pragną. Nie w przepisanej więc organizacyi szkół średnich, ale po za nią należy szukać przyczyn przeciążenia uczniów, jeżeli się ono rzeczywiście zdarza.

Inaczej ma się rzecz z odpowiedzią szanownego autora na zarzut zastoju i nieruchomości naszych szkół średnich, urządzonych według zarysu organizacyjnego, wydanego jeszcze w roku 1849.

Tu obrona naszych szkół przez szanownego autora podjęta nie trafia do naszego przekonania. My pierwsi należymy do tych, co wspomnianemu zarysowi wielkie przyznają zalety, i gdyby tylko nauka w naszych gimnazyach odbywała się w dobrze zrozumianym duchu tego zarysu, obeszłoby się i bez instrukcyi do nauki w gimnazyach austryackich, wydanych w roku 1884, i bez wskazówek do sprawowania urzędu nauczycielskiego z roku 1886 i bez rozporządzenia ministeryalnego z roku 1891, zmieniającego cel i sposób nauki języków starożytnych w gimnazyach. Ale zarys ten, jakkolwiek dla niemieckiej młodzieży może najlepszy, „nie stawia w naszych gimnazyach całego systemu nauki na gruncie swojskim, na gruncie, jakiego wymaga narodowy naszej młodzieży charakter, nasze ideały narodowe, tradycya naszej nauki, zasoby naszej literatury i naukowości, — lecz opiera się na gruncie obcym." A zarzut ten pochodzi nietylko od ludzi po za szkołą stojących, ale także od kół pedagogicznych*) i od instytucyi tak poważnej, jak nasza Akademia umiejętności, która w sprawozdaniu komisyi — w myśl uchwały sejmowej z dnia 14 lipca 1880 dla reformy szkół średnich przez siebie powołanej — zarzut ten bardzo silnie zaakcentowała.

Zmiany, jakie w ostatnich latach poczyniono u nas w planie nauk gimnazyalnych i ich metodyce, jakkolwiek bardzo cenne, nie zmieniły wcale istoty całego systemu. Już to, że historya polska nie jest przedmiotem nauki obowiązkowej, że nauka historyi powszechnej nowszych czasów obraca się głównie około dziejów Niemiec, że nauka religii w klasach wyż-

*) Zobacz *Muzeum* zeszyt styczniowy z roku 1890 str. 16. Podniesiono także ten zarzut na zeszłorocznym zjeździe pedagogów polskich we Lwowie.

---

1)

NIEDYSKRECYA

NOWELA

przez **Wincentego hr. Łosia.**

I.

Służyłem w czwartym pułku huzarów węgierskich. Piastowałem rangę porucznika w trzecim oddziale drugiego szwadronu i zaprzyjaźniłem się z najbliżej mnie stojącymi oficerami. Byli to dwaj dowódzcy pierwszego i czwartego oddziału, hrabia Gyula Redödy i Bela Czakvar.

Byliśmy nierozdzielni, bo nas nietylko łączyła przyjaźń, lecz i służba w jednym szwadronie pod komendą sympatycznego i lubianego rotmistrza, księcia Arpada Galavicini.

Rotmistrz uchodził za surowego przełożonego i był nim w istocie, bo wymagał od swych oficerów nietylko służbistości przed frontem, lecz wglądał w ich prywatne życie, które, jak mawiał, winno być bystrzejszem od potoku, płynącego wartkim prądem z gór Szörény, a czystszem od jego przeźroczystej z łoskotem po kamieniach toczącej się wody. Bo Galavicini, będąc z powołania żołnierzem, podobno był i poetą, którego muzę posądzono w pułku o skomponowanie niejednej piosnki, trafiającej do przekonań lśniących huzarów czwartego pułku.

„Lśniącym" bowiem zwał się nasz pułk od wieków. Czy go tak ochrzciły piękne Węgierki z Pesztu, gdzie długo stał załogą, czy też przydomek ten zawdzięczał swym złoto-kasztanowatym koniom, które milionami barw uśmiechały się do słońca, gdy stanęły w paradzie pod światłem jego promieni, nie wiem! Dość, że wystarczało powiedzieć „lśniący pułk", a każdy madziar wiedział, o jakim była mowa. A nas zaś razem i pojedyńczo zwano „lśniącymi huzarami", a słowa te magiczny wpływ wywierały na śliczne Węgierki, od Karpat i Bośnii, od Siedmiogrodu i Austryi. Wszakże w całych Węgrzech znaną jest piosnka, opiewająca blask naszego pułku, a zaczynająca się od słów:

> Na kwaterę zjechał żołnierz...
> Lśni od słońca złoty kołnierz,
> Jego szabli klinka biała,
> A koń także złoty z ciała...

Takimi byliśmy. Takimi prawdziwie „lśniącymi huzarami" byli też moi dwaj przyjaciele Czakvar i Redödy, którzy sami jedni mogli wyrobić prawo bytu temu świetnemu czwartego pułku przydomkowi.

Trudno opisać tych dwu młodzieńców pełnych ognia i życia, pełnych blasku i uroku, pełnych piękna i brawury.

Zaiste, jak mój pułk kocham, nie wiem, którego z nich madziarskie czarne oczy jaśniej świeciły, którego kędzierzawe włosy, silniej kruczą barwą połyskiwały, a którego rysy, wyrażały więcej odwagi i hartu, więcej uroku rycerskiego ducha.

Wiem tylko, że Redödy miał jak cygan śniadą twarz, przy której matowym kolorze odbijały śnieżno białe zęby.

Czakvara zaś blade oblicze tak było piękne, iż na ulicach Pesztu każdy przechodzień przystawał na widok tego młodzieńca, piękniejszego od Apollina belwederskiego.

Charaktery ich, jak wszystkie rdzennie węgierskie natury, miały wspólne cechy. Redödy był więcej, Czakvar mniej cyganem, Redödy chwytał za rękojeść pałasza, gdy Czakvar zaciskając do krwi usta, wąsika pomuskiwał. Redödy mienił się jak kameleon, gdy patrzał na kobietę, gdy Czakvar topił w niej tylko swój bystry wzrok, cały w nim duszą i ciałem.

Obaj byli w jednym wieku, obaj wychowańcami tej samej szkoły wojskowej, obaj wreszcie pochodzili z południowych Węgier, z tej krainy, w której słońce swemi jaskrawszemi promieniami czerni silniej głowy, opala oblicza, a czerwieńszą i gorętszą krew podobno rodzi.

Obaj żyli dotąd w najściślejszej przyjaźni. Czasem, ale i to rzadko, Redödy pozazdrościł na chwilę tylko Czakvarowi złocistszego od jego konia, jeśli Czakvar takiego skąd wytrzasnął.

Czasem znów Redödy także pozazdrościł koledze kochanki, jeśli miała od jego piękniejsze niebieskie oczy, czy jaśniejsze włosy. Bo Redödy był zazdrosnym i chciwszym od Czakvara życia i jego blasków.

A obaj te same zdawali się mieć cele i te same żywić namiętności. Ginęli za kobietami i końmi, końmi i kobietami, a nikt nie mógł dociec, co który z nich przekładał, złotosiercistego wierzchowca, czy złotowłosą kochankę.

Oni to podsunęli pułkownikowi myśl skomponowania tej rzeskiej i znanej piosnki, śpiewanej przez nas za każdym razem, a opiewającej jak wino Węgrowi pieśń do ust, a czardasza w nogi zapędza.

Jeśli takimi byli Redödy i Czákvar, to nie różnili się od nich zaprawdę i inni lśniący huzarzy, począwszy od naszego starego pułkownika, co na stołku konia dosiadał, ale go dosiadał, a skończywszy na naszym starym wachmistrzu drugiego szwadronu, który także lśnił się do słońca swym srebrno-białym wąsem, niegdyś jak mawiał, czarniejszym od piór węgierskiego kruka.

Wszyscyśmy bowiem lśnili i błyszczeli, wszyscy się pienili, jak wezbrane Dunaju wody i wszyscy radowali życiem i szczycili chwałą czwartego pułku, jak te orły dumne z wirchów Karpat i Beskidów.

Bo czwarty pułk był perłą, jak mawiał sam cesarz, w jego pułkach huzarów i dragonów, ułanów i kirasyerów.

Bo czwarty pułk nietylko najbardziej do słońca lśnił, ale był między wszystkimi najczystszy, jak ten nieskażony kryształ, jak ten brylant z korony św. Szczepana.

Jeśli czasem w innych pułkach przytrafiały się tajemnicze wypadki, to o nich nikt nigdy nie słyszał w gronie „lśniących huzarów".

Jeśli czasem w innych pułkach okazywała się potrzeba dymisyi i działy się skandale, wynikłe z pijatyk, czy szulerstwa, to o nich nikt nigdy nie wiedział w czwartym pułku.

Dumnismy z tego byli, dumni nad wyraz. To też nie ustępowaliśmy w niczem, owszem prym trzymaliśmy nad jedenastym pułkiem, choć liczył w swych oficerach samych magnatów — bojarów i członków izby panów i nad siódmym, zwanym „hulaszczym", choć w nim złoto, nie szampan przelewało się strumieniem i nad piętnastym, choć go monarcha uważał za najodważniejszy i najlepiej wyćwiczony.

Podanie niosło, że odkąd istnieli „lśniący huzarzy", nie było między nimi jednego wypadku, kończącego się przed kratkami sądowemi.

A cesarzowa Marya Teresa, — również według podania, — miała się spytać, jednego z feldmarszałków, dlaczego czwarty pułk zwie się lśniącym, czy dla swych złotych koni, czy dla innych przyczyn? Stary wojskowy jej odpowiedział:

— Nie, najjaśniejsza pani! W właściwem znaczeniu słowa lśni tylko brylant, najczystszy z kamieni. Owóż tak samo ma się z czwartym pułkiem.

Tak rzeczywiście się miało i takimyśmy nieskażonymi jeszcze byli, gdy nas rozkaz ministeryum wojny nagle przeniósł z Pesztu na granicę Bośnii i Hercegowiny, gdzie się zanosiło na poważne wypadki.

Opuściliśmy więc z żalem, z nadchodzącą wiosną, naddunajską stolicę; maszerowali na południe, nucąc wydobytym z setek piersi, a jakby jednym przesilnym głosem:

> To my idziemy! dziewczęta!
> My! Lśniący Węgier huzarzy,
> Odsłońcie wasze oczęta,
> Blask nasz — was nie poparzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

szych tchnie cała niemiecką formalistyką i pedanteryą, jak tego dowodzą przepisane dla tej nauki książki, że przy nauce historyi naturalnej i powszechnej w niższem gimnazyum jeszcze zawsze za wiele drobiazgowych szczegółów, że w wypisach polskich pominięto niejeden ustęp, w którym najwyraźniej i najpiękniej przebija się duch i serce narodu, jego ideały i jego dążenia, że nie ma uroczystego zakończenia roku szkolnego, tak odpowiedniego usposobieniu polskiej młodzieży, że wspólne gry i zabawy młodzieży istnieją dotychczas przeważnie na papierze... wszystko to dowodzi, że nasze gimnazya nie są osadzone na gruncie narodowym.

Wiemy dobrze, w jakich żyjemy warunkach politycznych; wiemy także, że organizacya gimnazyów zależy od rządu centralnego, ale pomimo tego śmiemy twierdzić, że przy stanowczych i wytrwałych usiłowaniach z naszej strony niejedno dałoby się uzyskać dla zastosowania instrukcyi do naszych potrzeb narodowych i do przyrodzonych właściwości naszej młodzieży *).

Oprócz zarzutów, które wylicza p. Tarnowski, są jeszcze inne, bardzo ciężkie, podnoszone ze stron najkompetentniejszych.

I tak: „U młodzieży opuszczającej gimnazyum nasze jest brak wykształcenia ogólnego, że inteligencya w pojęciu przedmiotu i w odpowiedziach jest rzadka, że procent uczniów myślących i rozwiniętych jest stanowczo za mały, a ogół jest poniżej tego, czego musi od niego wymagać społeczeństwo, jeżeli nie ma w przyszłości samo stopniowo stępieć i w oświacie podupaść.“ Zarzut ten pochodzi najprzód od Rady szkolnej krajowej, a znalazł on wyraz w sprawozdaniu delegata Rady miasta Krakowa do Rady szkolnej krajowej za rok 1889, a słowa wyżej przytoczone są *ipsissima* jego *verba*. Pochodzi on dalej od profesorów uniwersytetu i ludzi wyżej wykształconych, jak się o tem ze sprowozdania komisyi w sprawie reformy szkół średnich przez Akademię umiejętności powołanej przekonać można. Nie sądzimy zaś, aby w przeciągu sześciu lat ten stan rzeczy w naszych gimnazyach tak dalece się zmienił, żeby zarzut ów stał się bezpodstawnym; a dowodzi tego między innemi ta okoliczność, że pomimo łagodnej jak nigdzie klasyfikacyi przy egzaminie dojrzałości, przepada u nas 17 procent abituryentów, kiedy w innych prowincyach państwa austryackiego przepada ich tylko 5 do 8 procent.

A przyczyna tego leży najprzód w obcym nam systemie nauki. Jak bowiem roślina tylko we właściwym sobie gruncie może się należycie rozwijać, tak samo i umysł młodzieńca. Rada szkolna krajowa zaś podaje przez usta delegata krakowskiego następujące tego smutnego zjawiska powody: 1) Ogromny napływ uczniów do gimnazyum, uczniów w domu wcale nieksztalconych i nie rozwijanych, w szkołach niższych niedostatecznie przygotowanych do gimnazyum, a tak licznych, że nauczyciele nie mogą na każdego z osobna zwracać uwagi i starać się każdego umysł choćby trochę rozwinąć. 2) Przeważna część suplentów (a było ich w roku szkolnym 1895 aż 205) wchodzi do gimnazyum bez najmniejszej znajomości praktyki nauczania, a suplentów tych jest bardzo znaczny procent. 3) I stałe posady nauczycielskie obsadzają się niekiedy ludźmi, którzy uczniów ani prowadzić, ani rozumnie chować, nie są zdolni (!) **). 4) Zbyt łagodna klasyfikacya tak przy egzaminach wstępnych do gimnazyum, jakoteż przy promocyach z jednej klasy do drugiej.

Dodać musimy z naszej strony, że same egzamina dojrzałości, jak się zwykle odbywają, a przynajmniej odbywały, nie mało przyczyniają się do obniżenia poziomu umysłowego uczniów. Bo i czegóż to żądano zwykle przy tych egzaminach? Oto głównie i przeważnie pewnej miary wiadomości pozytywnych; na inteligencyę w pojmowaniu i przedstawieniu przedmiotu, na logiczność w myśleniu, na dojrzałość umysłową mało stosunkowo zwracano uwagi. I tak przy egzaminie z historyi zadowalniano się zwykle wyliczeniem faktów i dat; o pragmatyczny związek tych faktów, o dziejowe znaczenie pewnych zdarzeń, o pogląd na całe epoki dziejów.... albo nie pytano wcale, albo niedostatecznych w tym względzie odpowiedzi nie brano w należytą rachubę. Przy matematyce żądano wprawdzie dowodów, których uczono w szkole, a których, podobnie jak wierszy, nauczył się niejeden uczeń na pamięć mechanicznie; ale żeby uczeń na podstawie pewnych danych sam próbował przeprowadzić samodzielnie pewne kombinacye w granicach swej wiedzy matematycznej, czego — mówiąc nawiasem — wymaga słusznie zarys organizacyjny gimnazyów, takie zadanie należało do bardzo rzadkich wyjątków. W językach klasycznych przestawano zwykle na jakiem takiem przetłómaczeniu pewnego ustępu autora i na jednem lub drugiem pytaniu z gramatyki i historyi literatury, na które to ostatnie pytania odpowiadał uczeń zwykle według skryptów bez głębszej znajomości rzeczy. Czy zaś uczeń rozumie należycie myśl czytanych w szkole autorów, czy umie ocenić ich literacką i estetyczną wartość, jaki wpływ wywarł na niego każdy z czytanych klasyków, czy poznał — o ile to gimnazyasta poznać zdolny — ducha świata klasycznego w rozmaitych jego objawach, czy w ogólności czytał i studyował autorów klasycznych z należytem zastanowieniem i myśleniem — te i tego rodzaju pytania, z których właściwie dopiero poznać można stopień myślenia i umysłowej dojrzałości abituryenta, należały do rzadkich wyjątków. Abituryentom, których pisemny elaborat polski, mający być i będący rzeczywiście najpewniejszą miarą ich umysłowego rozwinięcia i stopnia myślenia, wypadł niedostatecznie, dawano nieraz z języka polskiego stopień dostateczny, jeżeli przy ustnym egzaminie na pytania z literatury odpowiedzieli jako tako, choćby mechanicznie. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że inteligencya i dojrzałość umysłowa może się tylko okazać na podstawie pewnych pozytywnych wiadomości, i że tylko *tantum scimus, quantum memoria tenemus*, ale wiadomości te należy przy egzaminie dojrzałości uważać głównie jako substrat, który prędzej czy później może ulecieć z pamięci; co zaś ma pozostać stałą własnością duszy i co ucznia do należytego korzystania z nauk wyższych na uniwersytecie ma usposobić, to są głównie te szematy myśli, to wykształcenie formalne, ta dojrzałość umysłowa. I tego to w pierwszym rzędzie wymaga słusznie od abituryentów zarys organizacyjny gimnazyów. Przy takim stanie rzeczy musiało w uczniach wyrobić się powoli to przekonanie, że nie inteligencya w pojmowaniu przedmiotu nauki, nie umysłowa dojrzałość do wyższych studyów, ale pewien zapas choćby tylko mechanicznie przyswojonych sobie wiadomości bez należytego ich rozumienia i organicznego połączenia wystarczy, aby otrzymać świadectwo dojrzałości, a w konsekwencyi tego cała dążność większej części uczniów ku takiemu przyswojeniu sobie wiadomości była skierowana.

Jeszcze jedna i to zdaniem naszem bardzo ważna przyczyna, a tą jest teraźniejszy duch czasu,*) przeciwny wszelkiemu idealnemu dążeniu, przesiąknięty materyalizmem i goniący za namacalną korzyścią. Szkoła nie doznaje zwykle poparcia ze strony społeczeństwa, lecz owszem przeszkody. Młodzież zbyt wcześnie zapoznaje się ze światem i życiem, a tem samem traci zamiłowanie do cichej naukowej pracy; a rodzicom chodzi najczęściej nie o prawdziwe wychowanie i wykształcenie synów, ale o to, aby jak najprędzej pokończyli szkoły i dobili się stanowiska i chleba. Nie gruntowna więc nauka, nie prawdziwe wykształcenie i umysłowe rozwinięcie, ale o promocyą z klasy do klasy, a ostatecznie świadectwo dojrzałości — zasłużone czy nie zasłużone — oto główne ich życzenie. Że zapatrywanie takie z rodziców musi przejść na synów i że nie może pozostać bez szkodliwego wpływu na ich naukę i wykształcenie, to więcej niż pewna.

Jeżeli prawdą jest, że nie dla szkoły, ale dla życia uczyć się należy, to nasze gimnazya nie zupełnie odpowiadają temu postulatowi, i to jest dalszy przeciw nim zarzut.

Wiadomo powszechnie, że zdrowie i siła fizyczna człowieka jest pierwszym warunkiem jego nie tylko fizycznej pracy i produkcyi, ale i duchowej; że jedno i drugie jest źródłem wewnętrznego tego zadowolnienia, co tak korzystnie wpływa na moralny stan człowieka. Staranie się o to zdrowie i o tę siłę u młodzieży należy do pierwszych obowiązków szkoły. Tymczasem ani pod teoretycznym, ani pod praktycznym względem nie czynią gimnazya nasze zadosyć temu obowiązkowi, bo hygiena nie jest w nich przedmiotem nauki, a gimnastyka jest przedmiotem nadobowiązkowym, z której najmniej korzystają ci, co jej najwięcej potrzebują.

Nasza młodzież gimnazyalna opuszcza szkoły bez żadnej prawie znajomości społecznych i ekonomicznych stosunków życia, w którem powołaną jest odgrywać kiedyś przodujące role. Już nasza szkoła Krzemieniecka podawała młodzieży pewne wiadomości na tem polu; tem potrzebniejszem jest to dzisiaj przy tak potężnem rozwoju życia we wszystkich kierunkach. We Francyi nawet, w szkołach żeńskich, wykłada się ten przedmiot, a oprócz tego prawo pospolite (droit usuel).

I ten zarzut czynią naszym gimnazyum, że zajmując się tem, co obce i odległe, za mało zwracają uwagi na to, co swoje i bliższe. Nasz gimnazyasta zna sądy, urzędy, zgromadzenia, wojskowość, igrzyska.... starożytnych Greków i Rzymian, ale o sądach i urzędach, o sejmach i sejmikach.. dawnej Polski, a nawet o sądowym i administracyjnym ustroju własnej gminy, własnego powiatu i kraju, mało który ma jakie takie wyobrażenie. Podobnie wie niejedno o Homerze i Sofoklesie, o Horacym i Wergilim, o Fidyaszu i Apellesie, - ale Dantego i Szekspira, Kalderona i Moliera, Rafaela i Michała Anioła, zna zaledwie z imienia.

Słabą stroną naszych gimnazyów jest także brak estetycznego wykształcenia u młodzieży. Wprawdzie nauka języków, historyi i rysunków podaje niejedną sposobność ku rozbudzeniu u młodzieży pojęć estetycznych, ale mało jest takich nauczycieli, coby z tej sposobności umiejętnie i skutecznie skorzystali, a nauka rysunków jest przedmiotem nadobowiązkowym. To też nic dziwnego, jeżeli ukończony gimnazyasta nie potrafi odróżnić kolumny doryjskiej od jońskiej lub korynckiej, budowy bizantyńskiej od romańskiej lub gotyckiej a na dzieła dłuta i pędzla patrzy bez najmniejszego rozumienia. Porządek, czystość i estetyczne tak wewnętrzne jak i zewnętrzne urządzenie budynków szkolnych nie należy także do powszechnych zalet naszych szkół średnich.

Lecz najcięższy ze wszystkich zarzutów jest ten, że młodzież szkolna nie ma w ogólności dla szkoły, nie ma dla nauczycieli należytego szacunku i zaufania. Z wykazów statystycznych dowiadujemy się, że w ostatniem dziesięcioleciu na 24 uczniów, wykluczonych w Przedlitawii ze wszystkich szkół za czynne znieważenie nauczycieli — przypada na Galicyę 18. Smutny to wielce objaw — już z tego względu, że przy takim stanie rzeczy nie może być mowy o skutecznym wpływie szkoły na moralne prowadzenie się młodzieży. To też na pogadankach pedagogicznych, które przed trzema laty urządziło w Krakowie Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, podniesiono ze strony bardzo poważnej nader ciężkie w tym względzie zarzuty przeciw młodzieży szkół średnich. Przyczyna tego złego leży w anormalnych stosunkach domu i szkoły, w braku odpowiedniego nadzoru szkoły nad młodzieżą, pozbawioną opieki rodzicielskiej i narażoną często w domach, gdzie mieszka, na najgorsze wpływy moralne — nadzoru nie policyjnego, ale ojcowskiego; w przeróżnych szkodliwych wpływach publicznego życia, które rodzina i szkoła nie zawsze potrafi zneutralizować.

Jeżeli się to wszystko zważy, to zaprawdę trzeba przyznać, że nasze szkoły średnie nietylko nie są doskonałemi, ale że wiele — bardzo wiele pozostawiają do życzenia, że zatem wymagają koniecznie gruntownej reformy, reformy opartej z jednej strony na podstawie narodowej, z drugiej strony zgodnej z postulatami tegoczesnego rozwoju życia i oświaty.

P. Tarnowski zapewnia nas, że nasze szkoły średnie mają wolę stawać się coraz lepszemi. Nie wątpiliśmy nigdy o tem i nie wątpimy. Znamy i cenimy wysoko dobre chęci i usiłowania dzisiejszych władz szkolnych i dlatego wierzymy mocno, że reforma w duchu wyżej wskazanym, prędzej czy później nastąpić powinna. *Bronisław Trzaskowski.*

*) Porównaj: Samolewicz: Uwagi nad sprawozdaniem komisyi w sprawie reformy szkół średnich, powołanej przez Akademię umiejętności w Krakowie, str. 13.

**) A któż temu winien? Podnieśmy tylko materyalne i społeczne stanowisko nauczycieli, wymagające tyle pracy i poświęcenia, a konieczność mianowania nieudolnych zniknie niebawem. *Przyp. autora*).

* Zobacz: Rappold — *Unsere Gymnasien* 1881 str. 9.

MAŁY FELJETON.

Fijołki.

Franciszka Coppéego.

I.

— Nigdy! — wołał ojciec Bourgeuil, powstając gwałtownie z miejsca i rzucając na stół serwetę. — Nigdy! czy dobrze słyszeliście...? Nigdy!

I podczas, gdy majster dekorator przebiegał z wściekłością salę jadalną z szorstkimi ruchami niedźwiedzia, mama Bourgeuil, spuszczając na talerz oczy, pełne łez, obierała machinalnie pomarańcze.

Od lat dwóch jedna i ta sama sprzeczka wybuchała pomiędzy małżonkami przy deserze.

Dwa lata bowiem minęło od czasu, jak się poróżnili z Edwardem, który wbrew ich zakazowi, miłostkę studencką uświęcił związkiem małżeńskim. Jakże oni kochali, jak pieścili i psuli tego Edwarda, jedynaka, który przyszedł na świat w dziesięć lat po ślubie, w czasie, gdy już stracili nadzieję posiadania dziecka. Uszczęśliwiony Bourgeuil rzekł wówczas do żony:

— Bogu dzięki, jesteśmy na dorobku i mam nadzieję, że ten malec nie będzie rzemieślnikiem, jak ja. Zrobimy z niego edukowanego panicza, nieprawdaż, matko?

I wszystko szło po myśli ojcowskiej. Edward był jednym z lepszych uczniów w liceum Ludwika, a Bourgeuil, przybyły przed laty do Paryża w bluzie robotnika z maleńkim węzełkiem pod pachą, był świadkiem, jak syn jego rodzony odbierał powinszowania ministra podczas rozdawania nagród na konkursie szkolnym. Najświetniejsza przyszłość otwierała się przed młodzieńcem, który, po otrzymaniu dyplomu doktorskiego, mógł marzyć choćby o tece ministeryalnej.

— Zostawimy uczonemu paniczowi sporo grosza, to mu nie zaszkodzi. Nieprawdaż, stara? — mówił papa Bourgeuil, klepiąc grubą łapą po szczupłem ramieniu poczciwą kobiecinę. Musimy go też ożenić porządnie. Trzeba będzie wyszukać piękną i elegancką pannę, która go uszczęśliwi, a nam przyniesie zaszczyt.

Jakże odległymi od nich teraz te wszystkie projekta! Młodzieniec, któremu przez próżność urządzili oddzielny, wytworny apartamencik, zawiązał romans z jakąś tam lafiryndą. Nauki poszły w kąt. W dwudziestym piątym roku życia nie zdołał przygotować się do doktoratu.

Rodzice smutni, rozczarowani, nie tracili jednak ostatecznej nadziei. Myśleli: „Młodość wyszumi“. Aż tu pewnego pięknego poranku Edward ośmielił się oświadczyć im, iż uwielbia swoją towarzyszkę i zamierza ją zaślubić.

Och, jeśli wtedy paraliż lub apopleksya nie tknęły papy Bourgeuil, to cud prawdziwy; uszy bowiem nabrzmiały krwią, która rzekłbyś, iż tryśnie lub rozsadzi podniecony organizm. Wypędził syna, odebrał mu pensyę.

— Jeśli ośmielisz się dać nazwisko tej kobiecie — wołał stary rzemieślnik, fioletowy z gniewu — nie spodziewaj się ani grosza od nas ani teraz, ani po naszej śmierci.

A pomimo to, niewdzięczne, niedobre dziecko do reszty zmartwiło rodziców, zrywając z nimi wszelkie stosunki.

Edward się ożenił, rzucił studya, aby pracować ciężko na chleb powszedni, jako prosty kancelista.

Od dwóch lat, to jest od czasu zerwania z synem, małżonkowie cierpieli bardzo, ale w ostatnich czasach sytuacya jeszcze się pogorszyła. Była w tem wina matki. Nazbyt czuła się nieszczęśliwą i uległa pierwsza. Gniew jej mniej był silnym od strapienia. Skłaniała się zwolna ku przebaczeniu. Wreszcie ośmieliła się wypowiedzieć myśl swoją przed mężem. Ale zaciętość chłopska wybuchła u starego z całą gwałtownością. Rzucił jej namiętne „nigdy“, od którego szyby się zatrzęsły, i zabronił żonie raz na zawsze poruszania drażliwego tematu.

Nie mogła go usłuchać, próbowała przemawiać za winnym coraz częściej. Za każdym razem jednak stary Bourgeuil wpadał w wściekłość i wyprawiał sceny straszliwe.

Dom ich zamienił się w istne piekło. Dwoje staruszków, którzy w przykładnej zgodzie spędzili lat przeszło trzydzieści na wspólnej pracy, dwoje ludzi, znanych z wypróbowanej wierności i miłości, żyło odtąd na stopie wojennej i zmieniło się we wrogów zaciętych. Co dzień po obiedzie rozpoczynały się swary, kończące się słowami raniącemi serce:

— Wiesz co ci powiem, stary; ty nie masz ani litości, ani religii, ani uczucia!

— A ty ani poczucia sprawiedliwości, ani logiki, ani wytrwania.

I majster-dekorator wychodził, trzaskając hałaśliwie drzwiami.

A stara matka, pozostawszy sama, łzami oblewała rozpoczętą pończochę.

Bourgeuil, zniecierpliwiony widokiem nieustannie skrzywionej twarzy, nie mógł teraz usiedzieć w domu, biegł do sąsiedniej kawiarni na partyą warcabów. Tu piorunował szeroko przeciw obyczajom współczesnym, przeciw czasom, w których władza ojcowska była lekceważoną przez dzieci, w których upadała patryarchalność rodzinna. On przynajmniej da dobry przykład. Będzie surowym i konsekwentnym aż do ostatniego tchnienia. Był to nawet jedyny temat rozmowy, który nudził potężnie towarzyszy, tolerujących zamożnego majstra, którzy potakiwali mu w oczy, a wyśmiewali za plecami, jak to zresztą zwykle bywa. Jeden z nich prym trzymający w drwinkach na temat „starego bzika“, najbardziej ubolewał pozornie nad jego nieszczęściem. Pochwalał wszelkie wymysły na syna frazesem aprobującym:

— Brawo! Brawo, stary! Jesteś prawdziwym Rzymianinem.

Wprawdzie papa Bourgeuil, jak się rzekło, chłop z pochodzenia, miał nader słabe pojęcie o starożytności, coś nie coś zasłyszał jednak o Brutusie, a myśl, że on jest człowiekiem „w podobnym guście“, mile łechtała jego ambicyą. Pomimo to nieraz, po wyjściu z kawiarni, gdy znalazł się samotnym pośród nocy, mówił do siebie — bardzo po cichutku — że ów Brutus musiał mieć „twardą duszę“, i że to rzecz straszna skazywać własnego syna na niedostatek, a może i na śmierć głodową..

II.

Ale oto zbliża się wiosna ze słońcem promienistem. Błogosławiony jej powiew rozjaśnia wszystkie lica, rozpogadza wszystkie serca. Kobiety, — cokolwiek zawstydzone promieniami, w obec których toalety zimowe wyglądają nader nieświeżo, — ratują sytuacyę przypinaniem bukiecików wonnych fiołków do peleryn i żakietów.

Stary Bourgeuil, grający w przeddzień warcaby do północy, wstał później, aniżeli zazwyczaj. Humor jego okropny. Wczoraj po obiedzie żona znowu wspominała o Edwardzie i znowu usiłowała skruszyć jego postanowienie.

Zebrała podobno wiadomości jak najdokładniejsze. Dowiedziała się, że ich synowa — zawszeć to żona ich syna, to nie ulega zaprzeczeniu — nie była „lafiryndą“, jak przypuszczali. Prosta to wprawdzie szwaczka, pracująca u gorseciarki. Ale czemżeż byli oni sami, rodzice Edwarda? Rzemieślnikami, którym się poszczęściło, dorobkiewiczami, niczem więcej. Gdy Edward poznał Martę — imię to niezbyt piękne, ale nie jej przecież w tem wina — była uczciwą. Zaufała mu i dotąd kocha go wiernie, pracuje ciężko, dom utrzymuje we wzorowym porządku. To też doprawdy czasby było ulitować się nad nieszczęśliwemi dziećmi.

— Bo — prawiła staruszka — oni są w nędzy, Edward zarabia na cały dom tyle, ile ty wydajesz na kawę i cygara... To okrutne... Nie mówię, żebyś im przebaczył, żebyś ich widywał, błagam tylko o pomoc materyalną.

I poczciwe matczysko, widząc, iż mąż jej nie przerywa, w milczeniu obracając szklankę, okrążyło stół nieśmiało i położyło zwolna ręce na ramieniu zirytowanego ojca.

Próżne usiłowania! Papa Bourgeuil przypomniał sobie nagle, iż jest „Rzymianinem“, to też z miną piorunującą wyrzucił gniewnie:

— Nigdy — przenigdy.

A dziś od rana tak mu jakoś smutno i ciężko na duszy! Nie będzie tak głupim, żeby zasilać ciężko zapracowanym groszem nieposłusznego syna. „Rzymianinem“ jest i pozostanie nim. Czy stary Brutus na jego miejscu dałby się ugiąć? Nie. A on już wczoraj o mało co się nie roztkliwił. Co to znaczą skutki babskiej paplaniny! Za grosz nie mają logiki ani energii te białogłowy!

I wzmocniony w swem postanowieniu papa Bourgeuil, ubiera się w strój niedzielny i schodzi do saloniku. Żony nie ma, ale po chwili wchodzi ona z książką do nabożeństwa i bukiecikami fiołków, które przepełniają nagle pokój zapachem świeżym, a przenikającym.

Stary Bourgeuil nie jest poetą. Natura to nie subtelna, a jednak doświadcza wrażeń podobnie, jak wy i ja, i podobnie jak u was lub u mnie pewne wrażenia wywołują odpowiednie wspomnienia.

Podczas gdy żona wiosennemi fiołkami ubiera mieszkanie, zapach ich porusza do żywego serce staruszka. Przypomina sobie podobną niedzielę wiosenną (ach jakże to dawno!) gdy był jeszcze prostym rzemieślnikiem, a żona ubogą szwaczką. Byli w pełni miodowych miesięcy, gdyż pobrali się tak coś w końcu karnawału. Podobnie jak dziś, przyniosła trochę fiołków do ich jedynego, małego pokoiku i przypięła je pod obrazem świętym, znajdującym się nad ich łóżkami. Jakże piękną była wtedy, jak ją kochał!

Nagłym rzutem oka obejmuje cały szereg długich lat wspólnie przeżytych, podczas których ona była tak pracowitą, oszczędną i wiernie mu oddaną.

A jednak tę poczciwą kobietę gnębi bezlitośnie z powodu niedobrego syna. Czy syn ten istotnie tak zły? Oczywiście należy słuchać i szanować rodziców, ile jednak błędów miłość i młodość mają na sumieniu!...

III.

W tej właśnie chwili staruszka, strojąca salon wiosennymi kwiatami, przypinała bukiecik do fotografii Edwarda — ich Edwarda w mundurku uczniowskim, w czasie, gdy znosił tyle nagród i dumą taką napawał serca rodzicielskie.

Nie. Doprawdy, stary majster nie wie, co się z nim dzieje. W głowie mu się kręci. Woń fiołków go upaja poczciwem upojeniem szlachetności i miłosierdzia.

Podchodzi ku żonie, bierze ją za rękę i rzucając wzrokiem na fotografię, szepce swym głosem szorstkim, dziwnie zachrypniętym:

— Powiedz mi, Kasiu, a gdybyśmy tak mu przebaczyli?

— Ach!

Okrzyk radości wybiega jej wprost z pod serca!... A do tego stary nazwał ją Kasią, jak za czasów młodości! Od lat piętnastu nie mówił do niej po imieniu!... Odczuła teraz, że ją zawsze kocha jej mąż, jej stary, wierny towarzysz!.

Rzuca mu się na szyję, całuje serdecznie, obejmuje rękoma łysą głowę i szepcze mu coś długo do ucha. Nie mogła wytrwać! Zeszłej niedzieli była u Edzia. Jakże ubolewa nad rozłąką z rodzicami. Jakiż on nieszczęśliwy. Sto razy podchodził pod ich progi błagać przebaczenia, ale nie śmiał.

— A czy wiesz — dodała głosem pieszczotliwym, niemal młodzieńczym — czy wiesz, że widziałam i żonę jego?... Nie można mieć żalu do niej... Taka śliczna, tak kocha Edzia!.. Jej przeszłość? Mój Boże! Kto tu winien? Młodość, okoliczności... A zresztą, czy wiesz, że niedługo zostaniemy dziadkami?

Stary Bourgeuil ledwie dyszy, drżące palce kładzie na ustach żony:

— Dosyć tego, matko. Każ położyć cztery nakrycia... Poślij po doróżkę... Wiesz co, damy im te wiosenne kwiatki na znak przebaczenia i przywieziemy tu zaraz na śniadanie.

A podczas gdy matka, oszołomiona szczęściem, szlochając, omdlewa na piersi małżonka, stary Bourgeuil — gdzie się podział Rzymianin, nieugięty Brutus! — zaczyna łkać z kolei, jak stare dziecko.

Z izby sądowej.

(*Kradzież*).

Lwów 5 grudnia.

Przed ławą przysięgłych rozpoczęła się wczoraj pod przewodnictwem radzcy Hayderera rozprawa przeciw Józefowi Krugowi, Józefowi Sośnickiemu i Franciszkowi Bieniaszewskiemu o kradzież popełnioną na szkodę tutejszego konsula rosyjskiego Pustoszkina, a nadto osobno przeciw Krugowi o różne inne kradzieże, przedewszystkiem o rozbijanie skarbonek w kościołach krakowskich i lwowskich. Jako współwinny staje także Izak Adler, oskarżony o pośrednictwo w zbywaniu skradzionych rzeczy.

Obaj oskarżeni Józef Sośnicki i Józef Kruk, wtargnęli w nocy dnia 19-go maja b. r. przez parkany sąsiednich domów na dziedziniec domu, a stamtąd do mieszkania konsula Pustoszkina, gzie zabrali srebro stołowe, laski i ubrania, ocenione na 369 zł., rozbili dolny fach kasy ogniotrwałej, skąd zabrali 800 rosyjskich papierów. Usiłowania rozbicia kasy ogniotrwałej, w której było 30 000 zł. gotówki, spełzły na niczem.

Do rozprawy zawezwano na świadka konsula Konst. Pustoszkina, który jednak do rozprawy nie stanął, zasłaniając się tem, że nie ma obowiązku stawać na wezwanie sądu lwowskiego, przysługuje mu bowiem jako konsulowi prawo eksterytoryalności.

Po odczytaniu odnośnego podania konsula, wyłoniła się dyskusya. Obrońca Bieniaszewskiego dr. Kraus, powołując się na przepisy procedury karnej i rozporządzenie ministeryalne z roku 1892, zażądał ponownego wezwania konsula, dowodząc, że eksterytoryalność przysługuje tylko ambasadorowi i ich domownikom, a nie konsulom handlowym. Prokurator p. Piwocki żądał zaniechania ponownego wzywania konsula. Trybunał nie przychylił się do wniosku obrony, ponieważ konsulowi przysługuje prawo nie stawać na wezwanie sądu lwowskiego, z czego jednak w całej pełni nie skorzystał, stawał bowiem przed sędzią śledczym.

Rozprawa skończy się dzisiaj.

* * *

(*Sprzeniewierzenie i oszczerstwo.*)

Rozprawa karna przeciwko byłemu urzędnikowi kolei państwowej Janowi Napiórkowskiemu, oskarżonemu o sprzeniewierzenie kwoty 141 zł. 33 ct. podczas urzędowania w Lubaczowie i oszczerstwa, popełnione na osobie dawnego swego przełożonego p. Luksica, skończyła się wczoraj późnym wieczorem, wyrokiem potępiającym. Przysięgli odpowiedzieli na oba pytania jednogłośnie „tak“, skutkiem czego trybunał skazał Napiórkowskiego na 8 miesięcy ciężkiego więzienia.

KRONIKA.

Lwów 5 grudnia.

Prekonizacya ks. Webera. Na posiedzeniu konsystorza papieskiego w Rzymie dnia 2 bm. prekanizowany został ks. kanonik Józef Weber, sufragan archidyecezyi lwowskiej, biskupem temneńskim (Temnos w Małej Azyi) *in partibus infidelium*. Nowy biskup urodził się w r. 1846 w Fürstenthalu na Bukowinie. Gimnazyum ukończył w Czerniowcach, a studya teologiczne odbył w Rzymie, zdobywając sobie w r. 1873 stopień doktora teologii. Po powrocie z Rzymu został wikaryuszem u św. Marcina we Lwowie, potem wikaryuszem katedralnym, następnie ojcem duchownym (spiritualnym) w seminaryum kleryków, wicerektorem tego zakładu, a na koniec kanclerzem konsystorza arcybiskupiego, na którem to stanowisku rozwinął w całej pełni swoją głęboką wiedzę teologiczną, niepospolitą pracowitość i wiele cnót kapłańskich. Te przymioty właśnie skłoniły ks. arcybiskupa Morawskiego do przedstawienia ks. Webera jako kandydata na posterunek sufragana archidyecezyi lwowskiej. Konsekracya odbędzie się po świętach.

JE. p. Namiestnik, książę Eustachy Sanguszko, wyjeżdża dziś do Krakowa.

Mianowania. Adjunkt sądu powiatowego w Białej Henryk Goldman mianowany sekretarzem Rady w sądzie obwodowym w Rzeszowie.

Cesarz mianował dr. Bolesława Wicherkiewicza, okulistę w Poznaniu, zwyczajnym profesorem okulistyki na uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. — Minister oświaty mianował artystę-malarza Teodora Aksentowicza profesorem w krakowskiej szkole sztuk pięknych.

Zaręczyny. W Horodence odbyły się zaręczyny Maryi bar. Romaszkanówny, córki Jakóba br. Romaszkana, właściciela Horodenki, z Józefem hr. Lasockim, rotmistrzem ułanów.

Z komisyi krajowej dla spraw przemysłowych. Na ostatniem posiedzeniu odbytem 1 grudnia pod przewodnictwem nowego marszałka hr. Badeniego, uchwalono: 1) dwom tow. tkackim, jednemu przedsiębiorstwu wyrobów drzewnych i jednemu warsztatowi mechanicznemu pożyczyć razem 32.500 zł; 2) przystąpić do wydawnictwa „Przewodnika przemysłowego“ i przedstawić Wydziałowi krajowemu potrzebę udzielenia na ten cel subwencyi rocznej 1000 zł; 3) przedstawić Wydziałowi kr. do stabilizowania kierownika szkoły sukienniczej Anczyca w Rakszawie, nauczyciela w szkole tkackiej Daniszewskiego w Krośnie i inspektora warsztatu tkackiego Pyptiuka w Łańcucie; 4) zwinąć warsztat stolarski w Żywcu, a natomiast otworzyć szkołę stolarską w Kalwaryi zebrzydowskiej; 5) zrestaurować w Horodence budynek, będący własnością funduszu krajowego i osadzić w nim tkacza z obowiązkiem przyjmowania chłopców na naukę tkactwa; 6) przenieść szkołę koszykarską z Jasła do Skołyszyna i urządzić nowe szkoły koszykarskie w Wojsławiu i w Tarnobrzegu. Sprawę rozszerzenia zakresu działalności komisyi na sprawy handlowe przekazano sekcyi administracyjnej do zbadania.

Dywany smyrneńskie krajowego wyrobu. Przez długi czas myślano, że słynne dywany smyrneńskie, będące wytworem bujnej i poetycznej fantazyi mieszkańców Wschodu, pozostaną na zawsze wyłączną własnością tych okolic, w których je najpierw zaczęto wyrabiać. Tymczasem w ostatnich czasach fabrykacya ich przeniosła się na Zachód, aby tu zdobyć sobie trwałe podstawy jako wytwór domowy. Pierwsi Węgrzy zaczęli na wielką skalę wyrabiać dywany smyrneńskie i zasypywać niemi całą niemal środkową Europę a przed kilku laty i nasz kraj, w którym tkactwo w formie domowego przemysłu kwitnie, jak wiadomo, od wieków i który swoim kilimom zdołał wywalczyć wzięcie na targu światowym, wziął się do fabrykacyi dywanów smyrneńskich. Z początku ograniczało się to nowatorstwo do inicyatywy jednostek, obecnie nową gałęzią przemysłu zajęła się szkoła tkacka w Glinianach w porozumieniu z gal. akcyjnem tow. handlowem. W tej chwili można już na wystawie centralnego bazaru krajowego oglądać dywany smyrneńskie z Glinian w kilku gatunkach i przyznać należy, że te już pierwsze próby zaszczepienia na naszym gruncie tej gałęzi wschodniego przemysłu, dały rezultat znakomity. Dywany są prześliczne, zarówno pod względem doboru barw, jak oryginalności deseni i sumienności wykonania. Szkoła w Glinianach wyrabia kilka gatunków dywanów smyrneńskich. Najwytworniejsze dywany kosztują 12 złr. 50 ct. za metr kwadratowy, czyli o 5 złr. 50 cnt. taniej, niż takie same dywany kupowane dotąd za granicą. Prześliczne są również i kilimy gliniańskie. Robota jest tak czysta i dokładna, jak znane kilimy p. Fedorowicza z Okna, a cena znacznie niższa.

Ugoda z Węgrami. Posłowie do Rady państwa, reprezentujący interesa rolnicze, zebrali się w sobotę na pierwszą konferencyę w sprawie ugody z Węgrami. Polscy przedstawiciele gmin wiejskich oświadczyli, że przyłączą się do tej akcyi dopiero po uzyskaniu zezwolenia Koła polskiego.

Pożegnanie Modrzejewskiej. Korespondent nasz z Chicago niedawno donosił, że pani Modrzejewska usuwa się ze sceny. Oto, co w tej sprawie pisze codzienna gazeta polska, wychodząca w Baltimore p. t. *Polonia w Ameryce*: „W tym tygodniu

rozpocznie się tryumf naszej również uwielbianej jak Paderewski genialnej artystki Modrzejewskiej w występach pożegnalnych w Filadelfii, albowiem syta sławy opuszcza scenę na zawsze. Zabawi w Filadelfii tydzień cały, codzień występować będzie na scenie. We wtorek występowała w sztuce „Magda“ („Gniazdo rodzinne“).

Znamienny zwrot. *Dziennik Warszawski* organ, który szedł zawsze na czele pism, szczujących na naród polski, a stawiał sobie za cel patryotyczny jątrzyć Rosyan na Polaków, wystąpił w ostatnim numerze z artykułem, w którym między innemi czytamy co następuje:

„Przy pomocy sztucznych środków, jakkolwiekby one były stanowcze, i jakkolwiekby drogo kosztowały, zrusyfikować Polaków, t. j. pochłonąć ich, nie możemy; wynika stąd, że nie należy stawiać sobie celów niedościgłych. Publicyści, piszący o rusyfikacyi, asymilacyi, zruszczeniu i t. p. Polaków i narzucający rządowi rosyjskiemu nie dające się rozwiązać zadania, w swojej prostocie i niedomyślności przynoszą straszną i przytem dwojaką szkodę: wprowadzają w błąd społeczeństwo rosyjskie co do celów i kierunku polityki rosyjskiej w kraju Przywiślańskim i straszą Polaków, przedstawiając im w fałszywem świetle zamiary rządu. Rezultatem jest podniecenie waśni plemiennej i zaostrzenie stosunków, tamujące spełnienie rzeczywistych, nie zaś fantazyjnych zadań, do których rząd dążyć powinien. Nie wiedząc, co czynią, publicyści owi dają wrogom władzy rosyjskiej poważny argument, obfity materyał do oskarżeń. Wrogo dla nas usposobiona zagraniczna prasa polska, korzystająca z każdej sposobności do wzmocnienia niechęci i nieufności Polaków — poddanych rosyjskich — do rządu i narodu rosyjskiego, ze złośliwą radością korzysta z błędów naszych publicystów, rozprawiających o rusyfikacyi, i podaje ich rozprawy czytającej publiczności polskiej z takiemi oto komentarzami: — „Patrzcie oto, jaka zagłada wam grozi — powiadają ci polscy szowiniści — chcą was „wynarodowić“, zetrzeć z oblicza ziemi imię polskie, zamienić was na Rosyan i prawosławnych a wy rozprawiacie o jakiemś pojednaniu, o lojalnem zachowaniu się względem rządu“. Dalej przedstawia się konieczność walki biernej czy czynnej dla obrony narodowości polskiej i świętej wiary katolickiej... a w formie apoteozy zarysowywa się niejasny, lecz ponętny obraz niezawisłej Polski. I słabe umysły wierzą temu.

„Im silniej ludność polska Kraju Nadwiślańskiego będzie przejęta przekonaniem, że rząd rosyjski nie myśli targać się na jego narodowość i wiarę, tem rychlej urzeczywistnią się nasze cele, tem rychlej rozwiążą się nasze zadania w tym kraju. W czemże leżą te zadania? Co znaczy wprowadzenie rosyjskich pierwiastków państwowych w życie tutejszej ludności polskiej?

„Odpowiedź na te pytania jest jasna i prosta. Środki rządowe winny przyczyniać się do ile możności najściślejszego zbliżenia tego pogranicza do innych części naszej ogólnej ojczyzny, do pojednania ludności tutejszej z rosyjską ideą państwową i zapoznania się z rosyjskiemi pierwiastkami państwowemi. Język rosyjski, jako państwowy, zajmuje należne sobie stanowisko w zarządzie i w szkole, pozostawiając zupełną swobodę rozwojowi języka polskiego i polskiej literatury. Rosyjska szkoła, zaznajamiająca młode pokolenie z językiem rosyjskim, rosyjską literaturą, rosyjską historyą, sztuką i t. d., przyczynia się do rozwoju wśród ludności uczuć wiernopoddańczych, miłości do bratniego rosyjskiego narodu, poczucia przynależności do wielkiej rodziny słowiańskiej, dążenia do podtrzymywania zawsze i we wszystkiem interesów rosyjskich, ściśle związanych z interesami kraju, i pełnego przeświadczenia, że rząd jest daleki od wszelkiego targania się na wiarę katolicką i na narodowość polską. Nie ma wątpliwości, że przy stałem, niezachwianem wypełnianiu naszkicowanego programu rychlej czy później pozyska się pomyślne rezultaty i polscy poddani naszego monarchy nabędą reputacyi wiernych synów Rosyi i dadzą rządowi możność zniesienia tych ograniczających swobodę środków represyjnych, które istnieją teraz w kraju z mocy konieczności. Takie są cele, do jakich rząd zmierza w całym Kraju Nadwiślańskim z wyjątkiem rosyjskiego Zabuża“.

Nadmienić winniśmy, że artykuł ten pozwoliła cenzura przetłómaczyć i wydrukować w warszawskich polskich pismach.

Rada szkolna krajowa na posiedzeniu dnia 2 bm. uchwaliła: Eutachemu Macewce, kierującemu nauczycielowi w Założcach Nowych, przy sposobności przeniesienia go w stan spoczynku wyrazić uznanie za czterdziestoletnią gorliwą i skuteczną służbę nauczycielską; zamianować: Piotra Tyszeckiego starszym nauczycielem 6klasowej szkoły męskiej imienia Mickiewicza w Stanisławowie; ks. Józefa G.jdę nauczycielem religii rz. kat. w szkole wydziałowej żeńskiej w Jaśle; Adolfa Wojtanowskiego nauczycielem kierującym 2klasowej szkoły ludowej w Wietrzychowicach; ks. Józefa Caputę zastępcą nauki religii rz. kat. w szkole realnej w Krakowie; zatwierdzić w zawodzie nauczycielskim Bronisława Świbę, nauczyciela gimnazyum w Jarosławiu; przekształcić 2klasową szkołę ludową w Grzymałowie na 4klasową od 1 stycznia 1896 i 1klasową szkołę ludową w Radczy na 2klasową od 1 lutego 1896.

† Emil Deryng, jeden z najstarszych aktorów polskich, urodzony w Warszawie w r 1818, umarł wczoraj w naszem mieście. Przed kilkudziesięciu laty grywał role amantów w Lublinie, w Warszawie i w Wilnie, po roku 1863 opuścił Litwę, a gdy mu pozwolono w jakiś czas potem osiąść w Warszawie, objął tam reżyseryę rządowych teatrów. Ze szkoły dramatycznej, którą Deryng następnie założył, wyszło kilkanaście wybitnych sił, jak: Frenkiel, Chmieliński, Wisnowska, Pysznikówna, Zawadzki. Śp. Deryng napisał także kilka melodramatów, grywanych niegdyś w Wilnie z muzyką Moniuszki, oraz kilka powieści i podręcznik p. t. „Dramaturgia praktyczna“. Ostatnie lata przebył w Galicyi, gdzie przez pewien czas dyrygował maleńką trupą prowincyonalną.

Obchody. Z Sokala nam piszą: Staraniem Czytelni mieszczańskiej odprawionem zostało w kościele O. O. Bernardynów dnia 3 grudnia nabożeństwo żałobne za rodaków, poległych w walce o niepodległość Ojczyzny w r. 1831 Mszę św. celebrował w asystencyi O Ferdynand Morawski, gwardyan miejscowy, kazanie zaś patryotyczne w słowach pięknych i rzewnych wygłosił O Pius Mianowski

Dramat miłosny rozegrał się wczoraj w domu pod l. 111 przy ulicy Gródeckiej, nieopodal rogatki. Dom ten, położony nieco na uboczu, otoczony jest małym ogródkiem, ogrodzonym sztachetami Część parterową, rozdzieloną na dwie połowy wąską sionką, zajmują właściciele tego domu, p Fryderyk Hoffman, maszynista kolei państwowej i jego żona. Krwawa scena, której motywa pozostaną prawdopodobnie na zawsze niewyjaśnione, odegrała się właśnie w ich mieszkaniu, a mianowicie w saloniku, położonym po prawej stronie sionki.

Według opowiadania naocznych świadków, rzecz się miała, jak następuje: Od kilku lat pozostawała u Hoffmanów w służbie młoda dziewczyna, Aniela Chemczuk. Było to dziewczę 17-letnie, dobre, skromne i pracowite, a że i wdzięków Bóg jej nie poskąpił, przeto licznych miała wielbicieli, którzy nawet oprócz serca, byliby chętnie ofiarowali jej i rękę. Wśród nich najwięcej okazywał zapału i ostatecznie zdołał pozyskać względy dziewczyny kuzyn jej chlebodawców, 24-letni Franciszek Bielecki, czeladnik rzeźnicki u masarza Stanisława Przybyłowskiego, którego żona jest rodzoną siostrą Hoffmanowej Stosunek trwał dość długo i wszyscy uważali Bieleckiego i Chemczukównę za parę narzeczonych, jakkolwiek Hoffmanowie nie bardzo przychylnie się zapatrywali na te zamiary i nawet starali się zapobiedz ich spełnieniu.

W ostatnich dopiero czasach Bielecki począł zdradzać usposobienie anormalne, przed rozmaitemi osobami mówił o zamiarze odebrania sobie życia, przyczem jednak oświadczał, że Anieli samej tu nie zostawi. I Aniela nie była taką, jak dawniej i w niej można było zauważyć pewną zmianę, której jednak nikt nie umiał sobie wytłómaczyć. Wczoraj naprzykład przed południem oświadczyła wobec sąsiadki Franciszki Wajdowiczowej, że po południu odbędzie się jej ślub z Bieleckim, a na zapytanie: „gdzie?“, odpowiedziała: „tu, w salonie“.

Po południu przyszedł Bielecki ubrany odświętnie z bukiecikiem w butonierce i zdawał się być w doskonałym humorze. Aniela, która również okazywała wesołość taką, jakiej u niej nigdy dawniej nie widziano, poczęła się zaraz z ogromną starannością ubierać. Umyła się, przeczesała włosy, przybrała świeżą bieliznę, najlepsze suknie, jakie miała i czarne rękawiczki, a na stawiane jej zapytania, dlaczego się tak stroi, odpowiedziała, że pójdą razem z Bieleckim wspólnie się fotografować. Gdy już skończyła toaletę, udali się obcje, Chemczakówna i Bielecki do pokoju pani Hoffmannowej, nieobecnej pod ten czas w domu i zamknęli za sobą drzwi kluczem. Po niejakim czasie zastukała do tych drzwi 13-letnia kuzynka Hoffmannowej, Michalina Stefańska, żądając, ażeby jej otworzyli, usłyszała jednak odpowiedź Anieli, ażeby im nie przeszkadzała, bo listy piszą.

Za chwilę rozległ się odgłos strzału, potem drugi, trzeci i czwarty. W całym domu wszczął się alarm, bieganina — wszyscy przeczuwali, że jakieś nieszczęście się stało, ale nikt nie wiedział co począć. Zamięszanie to trwało 5 do 6 minut, poczem znów rozległy się dwa strzały.

Mieszkańcy domu, nie wiedząc, co począć, zawiadomili policyę, skąd natychmiast wysłano koncepistę p. Łysakowskiego. Po wyważeniu drzwi, zamkniętych na klucz, przedstawił się następujący widok: W pokoju, w kałuży krwi, leżały dwa już zimne trupy — tuż przed drzwiami trup mężczyzny, a dalej o kilka kroków, obok łóżka trup kobiety. Były to zwłoki Bieleckiego i Chemczukównej.

Po bliższem zbadaniu przekonano się, że Bielecki miał dwie rany, strzały wymierzył był w usta, tak, że kule przecięły mu górną wargę, a nadto szyję dusił mu rzemyk, którego drugi koniec uwiązany był do klamki drzwi wchodowych. Chemczukówna, leżąca opodal, miała na oczach przepaskę z białej chustki, ręce, jakby śmiertelnym kurczem złożone na piersi pod szyją, gorset rozpięty, koszulę lekko pokrwawioną, a pod lewem jej ramieniem leżał na podłodze rewolwer. Po rozpięciu koszuli, okazały się na piersi dziewczyny w równej linii trzy rany: jedna z prawej strony pod siódmem żebrem, druga pod lewą pachą, a trzecia w samym środku piersi, prowadząca prosto do serca Wszystkie trzy rany według orzeczenia lekarskiego, były śmiertelne Za gorsetem znaleziono zatkniętą fotografię Bieleckiego Na podłodze w kilku miejscach widoczne były ślady krwi, na stole w środku saloniku leżała paczka nabojów rewolwerowych, obok trzy wystrzelone gilzy, a dwie takie gilzy na podłodze. Zresztą nie znaleziono żadnego listu, lub jakiejkolwiek kartki, którаby tłumaczyła powód tego podwójnego samobójstwa. Trudno też na razie wytłumaczyć sobie, w jaki sposób zostało ono spełnione: czy Bielecki zastrzelił siebie i narzeczoną, czy też każde z osobna dokonało zamachu.

Zwłoki pozostawiono na miejscu i drzwi opieczętowano. Dzisiaj zjedzie na miejsce komisya sądowo-lekarska, której może uda się wyjaśnić nowe szczegóły tego smutnego wypadku.

Konsekracya nowej cerkwi w Husakowie. Donoszą nam ztamtąd: Miejscowy proboszcz ruski ks. Piotr Chomicki podjął się pięknego dzieła Wystawił nową cerkiew murowaną na fundamencie kamiennym, w stylu bizantyńskim; dach blachą pokryty, posadzka cementowa w kostki ułożona; ołtarz, ambona, wrota carskie skromne, ale do całości zastosowane. Do wystawienia tej świątyni konkurowali parafianie, kolator przyczynił się swoim datkiem, składki zbierane w całym kraju przyczyniły się także w znacznej części. Ale nad dziełem tem czuwała widocznie Opatrzność Boża, bo parafianie, których jest mało, a przytem są ubodzy, własnemi siłami nie byliby zdołali tak wielkiego dzieła przyprowadzić do końca.

Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Julian Pełesz zapowiedział przybycie na dzień 30 zm. w celu konsekracyi cerkwi. Na przyjęcie Biskupa wystąpiło miasteczko z całą okazałością. Wystawiono trzy bramy tryumfalne, ubrano zielenią całą drogę przez miasto do cerkwi. Biskupa ubranego pontyfikalnie i prowadzonego pod baldachimem powitał przy pierwszej bramie burmistrz miasta po rusku, niosąc na tacy chleb i sól dawnym obyczajem; przy drugiej bramie koło kościoła czekał z procesyą miejscowy proboszcz łaciński, jubilat, i razem z procesyą odprowadził Biskupa do cerkwi. Nazajutrz odbyła się konsekracya świątyni. Okoliczni księża ruscy przybyli na tę uroczystość z procesyami; chrześcian obu obrządków było przeszło 8000. Nabożeństwo skończyło się o godzinie pierwszej, a byli na niem także obecni: kolator Stanisław hr. Stadnicki, urzędnicy starostwa i naczelnik sądu powiatowego mościskiego.

Ks. proboszcz Chomicki wystąpił z sutem przyjęciem Biskupa i wszystkich gości w domu swoim. W czasie obiadu i toastów wniesionych na cześć Biskupa, urzędników, kolatora, kapłanów, obywateli miasta, przemówił kolator Stanisław hr. Stadnicki, marszałek powiatu, poseł do Sejmu krajowego. W przemówieniu swojem podniósł on uwielbienie dla katolików unitów w ościennem nam państwie i oddał im cześć za stateczne wytrwanie w unii z Kościołem katolickim.

O godzinie 5-tej odjechał ks. Biskup Pełesz przy salwach z moździerzy do Przemyśla. Nie jest przeto u nas tak źle, jak gazety piszą i ludzie złej woli głoszą. My tu Polacy i Rusini kochamy się, chociaż nieraz przemówimy i pokłócimy się. Oto tak: jak dzieci jednej rodziny, którzy często z sobą się kłócą a nawet poczubią — ale wkrótce znowu są dobrze. A gdy jednego co boli, wszyscy na tem cierpią, gdy jednego chwalą, wszyscy razem z tego się cieszą.

Konkursa. Rektorat politechniki lwowskiej ogłasza z terminem do 15 stycznia konkurs na posadę lektora języka angielskiego z roczną płacą 300 złr.

Dwadzieścia ośm lat ciągnie się sprawa przeniesienia rakarza z ul. Kleparowskiej na inne miejsce, a nasza Rada miejska nie może zdobyć się na ostateczną uchwałę, zarządzającą przeniesienie. Dziś ta sprawa stała się bardzo piekącą. Na wzgórzu Kleparowskiem stanął piękny pomnik, poświęcony pamięci T. Wiśniewskiego, w bezpośrednim sąsiedztwie rakarza znajdują się dwa przytuliska brata Alberta dla kobiet i mężczyzn, a nadto stoją w pobliżu koszary. Rakarnia przeto ze względu na to bezwzględnie usuniętą być powinna. Sprawą tą powinna zająć się władza wojskowa, która wznosząc gmach inwalidów, wybudowała go pod tym tylko warunkiem, że gmina w przeciągu 15 lat rakarnię przeniesie w inne miejsce.

Zmarli. Ks. Jan Matkowski, gr.-kat. proboszcz w Jasienicy zamkowej koło Starego miasta, umarł w 85 roku życia, a 51 kapłaństwa. — Ks. Atanazy Stachurski, gr.-kat. proboszcz w Piasecznej koło Rozdołu, umarł w 77 roku życia, a 50 kapłaństwa. — Ks. Leon Łącki, wychodźca z Chełmszczyzny, gr.-kat. proboszcz w Dziewiętnikach koło Bóbrki, umarł w 68 roku życia, a 43 kapłaństwa.

Stan powietrza. T. o 9 rano —1° R., w poł. + 4° R. Bar. 758. Spada. Odwilż.

Małżeństwo dla pieniędzy.

Baron Goldhaber rozmawia z przyszłym swym zięciem:

— Prosisz pan o rękę mojej córki, panie hrabio?

— Tak, panie baronie.

— Czy mogę panu powierzyć moje dziecię z zaufaniem?

— O tak, z całem zaufaniem! Miewałem już daleko większe sumy w ręku...

Dla kapitalistów.

Nic się tak nie procentuje, jak dobra plotka!... Puść ją tylko na miasto, a za dni kilka przekonasz się, z jakim procentem zwrócą ją tobie.

Teatr. Dziś we czwartek „Ciepła wdówka“, komedya w 3 aktach M Bałuckiego. Jutro w piątek „Walka motyli“, komedya w 4 aktach Sudermana. W roli Elizy wystąpi po raz drugi na naszej scenie pani Jadwiga Tańska. W sobotę po raz pierwszy „Czech w Ameryce“, krotochwila ze śpiewami i tańcami w 5 aktach B. Zapperta z muzyką Gothowa von Grüncka. W poniedziałek po raz pierwszy „Mira“, sztuka w 4 aktach J. K. Zielińskiego.

Literatura i Sztuka.

* **Z teatru.** Wczorajsza farsa „Niobe“ przyniosła nam nową debiutantkę w tytułowej roli. Była nią p Tańska, artystka teatrów prowincyonalnych. Rola Nioby, jakkolwiek w farsie, ma to do siebie, że artystce o talencie dramatycznej bohaterki daje możność, mimo naciąganego umyślnie patosu, uwydatnienia właściwości i zalet tego talentu — to też rola ta może być do pewnego stopnia popisową. Pani Tańska, ogólnie wziąwszy, zrobiła korzystne wrażenie. Postać kształtna, oko żywe, poruszanie się na scenie swobodne, choć czasem zbyt ostre i afektowane, co zdaje się jest naleciałością maniery, praktykowanej zazwyczaj w prowincyonalnych teatrach, gdzie brak dobrej reżyseryi, a gra się wszystko z pośpiechem. Naleciałości takie wygładzają się na scenie dużej i systematycznie prowadzonej. Ale p. Tańska posiada organ mowy, który rzeczywiście jest niezwykłym i podatnym materyałem dla bohaterek dramatycznych; drga w nim ton głębszy, siła, a przytem jest giętki i miękki. Z tymi zaletami, jakie posiada wczorajsza debiutantka i z tym artystycznym temperamentem którym rozporządza, jeśliby im przyszła w pomoc systematyczna praca, odpowiedni repertoar ról i rozumne informacye, pani Tańska byłaby siłą wcale niezwykłą dla dużej sceny.

Iks Ypsylon.

* **Opera Paderewskiego.** Jak wiadomo, Paderewski koncertuje teraz w Ameryce. Otóż tamtejsze dzienniki podają o jego operze następujące, od samego kompozytora zaczerpnięte wiadomości: Opera Paderewskiego nie ma jeszcze tytułu — ale jest już ukończona Posiada trzy wielkie akty, które zajmą cały wieczór. Sceny zagraniczne ubiegają się o tę nowość; zdaje się, że pierwszeństwo otrzyma Drezno. Ci, którzy zostali wtajemniczeni w niektóre melodye, powiadają, że dzieło to godne jest Paderewskiego. Opera osnuta jest na temacie polsko-cygańskim; w librecie zużytkowane motywa, na których Kraszewski osnuł swoje dzieło: „Chata za wsią“. Bohaterem jest cygan, cygan-artysta, który żeni się z chłopką i wstępuje w prozę i powszedniość wiejskiego życia. Artysta w tych warunkach walczy i cierpi. Opowiadają, że w drugim akcie jest scena, gdzie tęsknotę cygana za sztuką przerywa od czasu do czasu płacz jego dziecka, scena, która przeznaczona jest na to, aby robiła wielki efekt

* **Der letzte Jagello.** Historisches Trauerspiel in fünf Aufzügen von Dr. Edmund Hahn. Drezno, Lipsk, Wiedeń 1895. Nakładem księgarni E. Piersona. — Romantyczna postać litewskiej księżniczki, która w kwiecie wieku zgasła na tronie polskim u boku Zygmunta Augusta, zachęciła niejednego już pisarza dramatycznego do napisania tragedyi na ponętnem tem tle. Wymienimy tylko utwory Dominika Magnuszewskiego i Felińskiego, z których ostatni utrzymał się nawet do dziś w repertoarze scen polskich dzięki mistrzowskiej grze p. Modrzejewskiej w roli Barbary. O ile jednak jest rzeczą naturalną, że losy nieszczęśliwej Barbary nie mogły ujść uwagi polskich dramaturgów, o tyle przyjemną niespodzianką jest dla nas fakt, że natchnęły one niemieckiego pisarza do stworzenia dzieła sztuki.

Pod wymienionym wyżej tytułem wyszedł w Lipsku pięcioaktowy dramat p. E. Hahna, napisany białym wierszem i rozgrywający się na przemian w Krakowie, Piotrkowie i w Wilnie. Sama już kurtoazya w obec Niemca, który z prawdziwem uwielbieniem kreśli w dramacie swoim rycerską postać Zygmunta Augusta i cały szereg historycznych postaci ówczesnych, nie pozwala nam na ścisły rozbiór utworu, który zresztą nie jest prawdopodobnie przeznaczony na scenę, tylko do lektury. Prócz pary królewskiej występuje w dramacie Hahna kwiat polskiego rycerstwa: Radziwiłł, Tarnowski, Kmita, Firlej, senatorowie, Włosi, należący do orszaku Bony i nareszcie sama Bona, na której odmalowanie nie szczędzi pisarz niemiecki barw ponurych, kreśląc dosadnie jej samolubną i nurzającą się w dworskich intrygach postać. Dramat kończy się śmiercią Zygmunta Augusta.

SPORT.

Że „Tokio“, zwycięzca tegorocznego austryackiego Derby, ponownie pobitym został w Anglii w biegu o puhar w „Derby cup“, donosił już *Przegląd* w kronice numeru 267 z dnia 19 listopada, a potem na tem miejscu w numerze 269 z dnia 21 listopada.

Obecnie mamy już szczegółowe sprawozdanie:

W piątek dnia 15 listopada odbył się w Derby bieg o puhar „Derby cup“ wartości 4000 marek i 36.000 marek w gotówce (nagrody obliczone w markach, bo to prawdopodobnie przedruk z jakiegoś czasopisma niemieckiego), meta 1600 m. Zapisano koni 52, biegało 22. „Tokio“ z miejsca prowadził, ale zaledwo przez połowę drogi zdołał się utrzymać na przodzie. Utonął w gromadzie koni z tyłu idącej i przybył do mety dwunasty.

Widocznem jest, że właściciele zwycięzcy austryackiego Derby nabyli przekonania, że — chociaż w Austryi niezwyciężony — nie dorósł on „klasą“, tj. jakością do średnich koni angielskich, które biegają w handicapach, a dowodem tego najlepszym jest naprzód, że nie starano się klęsk, które poniósł, tłumaczyć niezdrowiem, ani też jakiemi niecnemi praktykami; po prostu przyjęto jako fakt, że najlepszemu koniowi austro-węgierskiemu daleko do wygrywania w Anglii z końmi tam średnimi; po wtóre, że po przegranej w „Derby cup“ powraca do Totis, bo oczywiście w Anglii nie ma co robić.

Jeden z węgierskich dzienników sportowych *Kincsem*, którego redaktorem jest znany spotsman E. br. Podmaniczky, zamieszcza z tego powodu bardzo obszerny, wytrawny, na statystycznych datach oparty artykuł wstępny, w którym porównuje rezultaty chowu koni czystej krwi w Austro-Węgrzech a w Anglii, i na podstawie cyfr wykazuje konieczną potrzebę odświeżenia chowu koni czystej krwi w Austro-Węgrzech przez sprowadzanie reproduktorów pierwszej klasy. Rzecz oczywista, że dziennik węgierski ma głównie na oku chów koni w krajach korony św. Szczepana... A kto się ujmie za biedną Cislitawią?

* * *

Wychodzący w Paryżu *Le Sport Universel Illustré* doniósł był już w zeszłym miesiącu wiadomość o dwóch bardzo oryginalnych jazdach zaprzęgami, których nie podaliśmy tutaj na razie, bo rubryka nasza zajęta była sprawozdaniami z wyścigów.

P. M. Wanamacker Amerykanin, jak się zdaje holenderskiego pochodzenia, czwórką, a raczej trzema czwórkami po drodze rozstawianemi odbył podróż z Paryża do Londynu. Wyjechał z Paryża 10 września, t z. „Mail-Coach“ (wymawia się to mejlkocz). Jest to kareta poczwórna zbudowana na obraz i podobieństwo dawnych dyliżansów angielskich z siedzeniami na górze dla gości, w środku zaś jedzie służba i prowianty dla przekąski po drodze. Takie „Mail-Coaches“ powszechnie są używane w Anglii na wyścigi i na wycieczki z Londynu w okolice. Powóz taki mieścić może do 16 osób, a z natury swej dość duży i ciężki, wymaga koni dużych i bardzo silnych, a dróg bardzo dobrych. Zwykle powozi sam właściciel. P. Wanamacker wyjechał w towarzystwie dziewięciu osób oprócz służby, dnia 10-go września z Paryża, a 13 stanął w Cabourg gdzie całe towarzystwo zabawiło dni parę, robiąc wycieczki w okolice. 22 września wsiadło to towarzystwo w Caen na parowiec, na który też władowano powóz i 12 koni i przewiozło się do Newhaven, zkąd oczywiście wysłano koleją dwie czwórki na rozstawki po drodze do Londynu. Powrócił tą samą drogą i przybył do Paryża 4 października Podróż trwała 25 dni, w których przebyto 1150 klm. t. j. około 60 km. dziennie, odliczywszy zaś pięć dni wypoczynku, wypadło na dzień drogi po 70 km Wypadku nie było żadnego, z dwunastu koni żaden nie okulał.

* * *

Jeszcze oryginalniejszą wycieczkę odbył hrabia Fontalva, Portugalczyk, z Lizbony do Paryża Mail-Coach'em zaprzężonym sześcią mułami. Oczywiście na jednym z mułów przedniej pary jechał foryś Odległość wynosi przeszło 3000 km. a dzielne muły bez rozstawki robiąc w przecięciu po 67 km. dziennie przybyły do Paryża zdrowe i świeże. Podróż tam i napowrót trwała 124 dni.

Telegramy „Przeglądu“.

Wiedeń 5 grudnia. (Z Koła polskiego). Na początku wczorajszego posiedzenia oświadczył p. Zaleski, iż deputacya, która z polecenia Koła udała się do hr. Badeniego w sprawie Morskiego Oka, otrzymała zadowalniającą odpowiedź. Szczegółów tej odpowiedzi p. Zaleski atoli podać nie może, gdyż udzielone one były poufnie. Następnie zajęło się Koło sprawą emigracyi włościan z Galicyi do Ameryki. P. Wielowieyski odczytał obszerny referat o wychodźtwie. P. Lewakowski skarżył się na brak opieki nad emigrantami i na trudności paszportowe. Ubolewał nad rozwiązaniem Towarzystwa św. Rafała, które emigrantom dawało pomoc i podniósł, iż emigranci polscy w Ameryce północnej, dla braku szkół polskich i duchowieństwa polskiego, nadzwyczaj szybko się wynaradawiają. Przekonał się o tem podczas swego pobytu w Ameryce.

P. Zaleski odczytał pismo, w którem Towarzystwo św. Rafała i Towarzystwo handlowo-geograficzne protestują przeciwko zarzutom czynionym w Kole przez p. Rutowskiego Towarzystwu św. Rafała i delegatowi Towarzystwa handlowo-geograficznego dr. St. Kłobukowskiemu.

P. Rutowski oświadczył, iż w mowie swej wypowiedzianej w Kole wcale nie miał zamiaru zarzucać dr. Kłobukowskiemu złej wiary. P. Wodzicki podał do wiadomości, że w celu ochrony wychodźców z Galicyi, hr. Gołuchowski zamierza w brazylijskim stanie Parana utworzyć konsulat austro-węgierski.

Przemawiali jeszcze pp. ks. Chotkowski i Lewicki poczem Koło wybrało komisyę złożoną z pp. Pinińskiego, Wielowieyskiego, Rutowskiego, Lewickiego, W. Dzieduszyckiego i ks Chotkowskiego i poleciło jej opracować projekt ustawy o wychodźtwie, który zostanie przedłożony Radzie państwa.

Wiedeń 5 grudnia. Komisya budżetowa przyjęła ustawę finansową na rok 1896, według której preliminowane są na rok przyszły wydatki państwowe w kwocie 662,817.082 zł., dochody 663,752.808 zł., pozostaje przeto nadwyżka w kwocie 935.726 zł.

Dalej przyjęła komisya budżetowa jednogłośnie rezolucyę wzywającą rząd, aby przedkładając preliminarz budżetowy na rok przyszły równocześnie czynił wnioski, w jaki sposób należy użyć nadwyżek, które osiągnięto przy gospodarce w roku zeszłym, oraz aby zaprowadził reformę w prowadzeniu kasowości przez zawarcie układu z pocztową Kasą oszczędności lub z bankami, celem procentowania wszelkiej leżącej gotówki w kasach państwowych. Minister skarbu dr. Biliński oświadczył podczas dyskusyi, iż za bank państwowy nie można uważać pocztowej Kasy oszczędności, lecz wspólny bank austro-węgierski. Przekazanie nadwyżek kasowych temu bankowi przez obie połowy monarchii umożliwiłoby mu prowadzenie racyonalnej polityki procentowej. Może to jednak być uregulowane dopiero podczas rokowań nad ugodą austro-węgierską. Również przed ostatecznem przeprowadzeniem reformy waluty, sprawa fruktyfikowania nadwyżek kasowych nie może być ostatecznie uregulowaną. Nadwyżki kasowe powstały wskutek nadzwyczaj przezornego budżetowania. Gdyby Izba posłów życzyła sobie mniej przezornej praktyki budżetowania, to musiałoby równocześnie z tem iść także mniej energiczne umarzanie długu państwowego.

Prezes gabinetu hr. Badeni oświadczył podczas dyskusyi, że projekt regulacyi Wełtawy i skanalizowania tak jej, jak i Łaby przedłożony został już ministeryum; badanie tego projektu znacznie postąpiło.

Berlin 5 grudnia Parlament niemiecki wybrał ponownie całe przeszłoroczne prezydyum.

Praga 5 grudnia. Podczas wczorajszych wyborów ściślejszych do Rady miejskiej wybrano trzech staroczechów i jednego młodoczecha Rada miejska składa się przeto dziś z 41 młodoczechów i z 49 staroczechów.

Bukareszt 5 grudnia. Przy wyborach do senatu wybrano na 60 miejsc 57 zwolenników dzisiejszego ministeryum i jednego opozycyonistę. O dwa miejsca odbędzie się wybór ściślejszy.

Belgrad 5 grudnia. Skupczyna przyjęła projekt ustawy, mocą której w Belgradzie utworzy się akcyjne towarzystwo z kapitałem $11^1/_2$ milionów dinarów. Towarzystwo to zajmie się urządzeniem targu na bydło i rzeźni w Belgradzie. W następnych dniach przeprowadzi skupczyna dyskusyę nad budżetem, który wykazuje wielkie oszczędności.

Sofia 5 grudnia. Sprawozdanie komisyi wybranej przez sobranie dla przeprowadzenia śledztwa przeciw Stambułowowi konstatuje, że Stambułów przez gwałty najrozmaitszego rodzaju, którymi uciskał opozycyę, niweczył wolność wyborczą, że systematycznie naruszał tajemnicę listową i nietykalność prywatnego mieszkania, że prześladował niewinnych, nieprawnie postępował względem prasy, prześladował synod, wytoczywszy niczem nieuzasadniony proces metropolicie Klementowi, że dopuścił się nadużyć i przeniewierstw przy dostawie naboi dla armii, przy dostawach dla kolei i przy dostawach karabinów i materyałów dla artyleryi i że w końcu zupełnie bezprawnie zabierał dla siebie z banku narodowego pieniądze z tajnego funduszu. Komisya wnosi przeto, aby skargi, które wpłynęły przeciw dawnym rządom z powodu nieprawnych aresztowań i znęcań się odstąpiono prokuratoryi i aby ośmiu byłych ministrów postawiono w stan oskarżenia. Spadkobiercom Stambułowa i Mutkurowa poleca komisya wytoczyć proces cywilny. Komisya skonstatowała także, że rządy tyrańskie w Bułgaryi rozpoczęły się już za czasów Radosławowa.

Belgrad 5 grudnia. Dzienniki donoszą, że rząd serbski rokuje z pewną niemiecką fabryką broni o dostarczenie mu na kredyt nowych karabinów.

Waszyngton 5 grudnia. Na posiedzeniu senatu postawiona została rezolucya, wzywająca prezydenta Stanów Zjednoczonych, aby jak najenergiczniej wystąpił w obronie Amerykanów, mieszkających w Turcyi i wyraził Porcie ubolewanie Amerykanów, że w Turcyi dzieją się rzezie chrześcijan, jakoteż że Stany Zjednoczone nie mogłyby obojętnie patrzeć na dalsze prześladowanie chrześcijan. Rezolucyę tę odesłano do komisyi.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 4 grudnia. A. hr. Wolańska z Rzepiniec. A. Oborski z Hussowa. A. Przedrzymirski z Woli małnowskiej. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. E. Tuski z Besarabii. J. Szumpeter z Buska.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Pogłoski, jakobym był wspólnikiem Wgo Szymona Skarbek Malczewskiego z Kowalowej, są mylne i bezpodstawne i oświadczam niniejszem, że ani z majątkiem, ani z kopalnią nafty w Kowalowej nie mam nic wspólnego do czynienia.

Bronisław Sadowski.

Wiedeń 4 grudnia Notowania wieczorne. Kredyty 371·25, węgierskie kredyty 440.00. anglobank 166·25, bankverein 149·50, unionbank 315.00, länderbank 243.50, staatsbahny 367.—, lombardy 100.75, elbethale 271.50, akcye tytoniowe 199.50 rima 256.00, alpiny 87.25, renta majowa 100.45, węg. renta złota —·—, austr. renta koronna .—, losy tureckie 54.00 węg. renta koronna 98.65. marki 59.20, ruble 130.—.

49,

MAFFIA

POWIEŚĆ

przez

G. Le Faure'a

(Tłumaczenie baronowej Zofii Hartinghowej).

(Ciąg dalszy).

— Masz pan list?

Hutnik, gdyż to był on, wyciągnął kopertę z pod bluzy.

— Dostałem go dopiero dziś z rana, o czwartej — tłómaczył się. — Jeden z dojeżdżaczy leśnych doręczył mi go.

Miss Mary już nie słuchała. Gorączkową ręką rozdarła kopertę i chciwie odczytywała drobne a pewne pismo męzkie zapełniające ćwiartki welinu, potem wydała głębokie westchnienie ulgi.

— Zdrów jest! Chwała niech będzie Bogu!

I znowu zabrała się czytać list po raz drugi z oczyma pełnemi łez, z duszą do głębi poruszoną słodkimi wyrazami miłości i otuchy, które jej przesyłał ukochany, dodając odwagi i cierpliwości do zniesienia obecnego położenia, w nadziei, że wkrótce zaświta dla nich obojga dzień radosny, w którym połączeni z sobą na zawsze, zaznają szczęścia bez granic.

Młodzieniec podawał jej także szczegóły o życiu, które tam prowadził życiu pełnem trudów i umęczenia na szerokich powietrznych przestrzeniach preryj lub w głębi obszarów leśnych, których eksploatacyą sam kierował, chcąc fizyczną pracą przytępić umysł i zabić tęsknotę serca.

„Otrzymałem przed chwilą słówko od pana Nichollsa — pisał na końcu. — Donosi mi, że sprawa nasza jest na dobrej drodze i za tydzień naznacza termin mego powrotu. Za dwa tygodnie więc najdalej będę mógł przycisnąć cię do serca, ukochana moja! Na samą tę myśl mąci mi się w głowie z radości."

Młoda dziewczyna, zarumieniona ze szczęścia, z pałającemi oczyma, zawołała w uniesieniu:

— Ach! mój przyjacielu! jakże jestem szczęśliwa!

Hutnik patrzył na nią z rozczuleniem, w którem przebijał odcień smutku.

— Jeżeli pani będziesz miała odpowiedź... — rzekł.

— Rozumie się, że będę. Ale gdzież ją wysłać? On musi już być w drodze.

— W drodze? — powtórzył Hutnik zdziwiony.

— Pan Nicholls wzywa go z powrotem — objaśniła Mary.

— A to co innego — odrzekł Hutnik. — Musi mieć w tem jakiś powód.

Miss Smither zamyśliła się.

— Co tu robić? Prosi mnie bodaj o słówko.

— W takim razie daj mi pani list. Ponieważ pan d'Etrillac wróci zapewne tą samą drogą, jaką odjechał, znajdzie się może sposób wręczenia mu pisma pani.

— Ale bo widzi pan, nie mogę dać go panu teraz. Mam gościa.

— To wie pani co — rzekł po chwili namysłu Hutnik — zostanę w mieście do wieczora. Jak pani napisze list, to proszę mi go przysłać do karczmy, na Przedmieściu Związku, pod szyldem „Sangre di Christo". Herkules znajdzie z łatwością. Żegnam panią.

Skłonił się i wyszedł, a Mary, ukrywszy list za stanikiem, wróciła do salonu.

Santa Capella, stojąc, żegnał się z panią Smither.

— Oto, droga pani, jest przyczyna, dla której wyjeżdżam ztąd — kończył właśnie mówić.

— Daruje pan — wtrąciła Mary — że oddaliłam się na tak długo, ale miałam rachunki z magazynów do załatwienia.

On zaprotestował grzecznie.

— Aż nadto rad jestem, pani, że mogę przynajmniej jeszcze złożyć jej moje uszanowanie przed wyjazdem.

Mary uczyniła wysiłek woli, aby siadając, odpowiedzieć:

— Więc... ten wyjazd jest już nieodwołalnie zdecydowany?

— Tak, pani. Okoliczności zniewalają mnie do tego, a cześć i głębokie przywiązanie, jakie mam dla pani, nakazują mi to jako obowiązek.

— Przesadzasz pan może cokolwiek — uśmiechnęło się dziewczę.

— Być może, ale kiedy chodzi o panią, wolę przesadzić w ostrożności, aby nie mieć sobie potem nic do wyrzucenia.

— Popełniłem błąd — dodał po chwili — nie do darowania, że dałem się porwać słodkiemu urokowi tej poufałości, do jakiej raczyłaś mnie pani przypuścić. Byłem na tyle szalonym i zarozumiałym, że życzliwe przyjęcie, jakiego doznawałem od pani, wziąłem za przychylność dla moich uczuć. Całe życie pokutować teraz będę za moją winę. Ot i wszystko.

Westchnął i z przymuszonym uśmiechem dodał:

— W moim wieku nie godzi się popełniać podobnych pomyłek. Dobrowolne wygnanie będzie mi zasłużoną karą.

Pani Smither wpatrywała się we wnuczkę, jakby miała nadzieję, że ta pokora i uległość wzruszy jej serce.

— I cóż ty na to, moje biedne dziecko? — spytała w końcu nieśmiało. — Czy wypuścisz tego biednego margrabiego bez słowa otuchy i nadziei?

Mary figlarnie wstrząsnęła główką i odparła:

— Jeżeli pan margrabia chce jechać, to zależy od jego woli. Ale jeżeli jest szczerym, to musi przyznać, że ja nie zachęcałam go bynajmniej do tego.

Santa Capella, tonąc w niej wzrokiem pełnym uwielbienia, szepnął:

— Ale niestety! czyż pani zachęcałaś mnie kiedykolwiek, aby tu zostać!

Brwi dziewczęcia ściągnęły się.

— Czyż to mnie przystało czynić, panie margrabio? Zresztą jeśli mam wyznać prawdę, to pańskie zabiegi zaraz po... wypadku, jaki spotkał pana d'Etrillac'a, zraziły mnie i źle usposobiły dla pana.

Santa Capella usiadł wzruszony nad wszelki wyraz, czując, że nadzieja wraca mu serce, a radość rozpiera piersi. Pytał się sam siebie, czy nie ulega złudzeniu zmysłów, upatrując życzliwszy jakiś wyraz dla siebie w spojrzeniu ubóstwianej dziewczyny, cieplejszy dźwięk w jej głosie?

— Daruj pani — wyszeptał z pokorą.

— Z kobietami to tak — dodała. — Chcą, aby je odgadnąć.

On pochylił się ku niej drżący, tchu pozbawiony, i ujął obie jej dłonie.

— Odgadnąć? co? — powtórzył cicho, namiętnie, patrząc w jej oczy.

Dreszcz wstrętu przeszył Maryę od stóp do głowy pod dotknięciem rąk jego. Próbowała całego wysiłku energii, aby go nie odepchnąć od siebie. Roześmiała się sucho, nerwowo, i zwracając się do pani Smither, zawołała:

— Ach! babuniu! jacy ci zakochani są zabawni!

Staruszka, zdumiona zmianą zaszłą we wnuczce, nie odpowiedziała nic na to, tylko wzrokiem zachęty spojrzała na margrabiego.

— Możnaby doprawdy pomyśleć — ironicznie śmiała się dalej dziewczyna — że legenda o bożku miłości Kupidynie, noszącym przepaskę na oczach, jest prawdziwa. Jak to? i pan mnie się pytasz, co masz odgadywać? Ależ zważywszy stan pańskiego serca, jedno tylko powinieneś mieć na myśli...

Santa Capella ledwie mógł wierzyć uszom swoim.

— Wielki Boże! — krzyknął zdławionym głosem — więc pani...

Zatrzymała go ruchem ręki, przewidując, co chciał powiedzieć, i dodała spokojnie:

— Tak, upoważniam pana do zostania w Nowym Orleanie.

— Czy to być może?!... Tyle szczęścia!..

Pochylił się nad jej dłońmi i ucałował je długo, gorąco.

Ona wycofała ręce z jego uścisku i przez chwilę rysy jej zesztywniały surowym i niemal okrutnym wyrazem dni minionych; lecz trwało to przelotną sekundę tylko, bo opanowała się w mgnieniu oka i rzekła zalotnie:

— A niechże pan sobie znowu nie nabija głowy jakiemiś romansami! Co robię, to przez wzgląd na moją babkę, która od dawna pragnie mieć pana za wnuka, bo sobie wyobraża, że mi będzie do twarzy w margrabskim dyademie.

Błyskawica rajskiego upojenia zatliła w ciemnych źrenicach Włocha.

— Jesteś pani najpiękniejszą z kobiet na ziemi — rzekł z zapałem. — Przysięgam uczynić wszystko, co będzie w mojej mocy, aby cię uczynić najszczęśliwszą.

Pani Smither podniosła się z fotelu i, objąwszy czule wnuczkę, ucałowała ją gorąco w czoło.

— Zwracasz mi szczęście i spokój, dziecię moje — rzekła.

A ona, zawstydzona radością biednej staruszki, szeptała, tuląc się do niej:

— Ach! babciu!... babciu!...

Santa Capella stał chwilę nieruchomy, niezdolny przemówić słowa z nadmiaru radości, która rozsadzała mu serce. Szczęście to spadło na niego tak nagle, tak niespodziewanie, że zaledwie śmiał mu dowierzać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Magistrat król. stoł. miasta Lwowa.

L. 94107/95. VIII.

Obwieszczenie.

Odnośnie do ogłoszonego konkursu dla uzyskania planów na BUDOWĘ NOWEGO TEATRU z dnia 18 lipca 1895 L 1064 podaje się niniejszem do wiadomości, że w skład komitetu sędziów dla oceny pomienionych planów, wchodzą Wni pp.

Edmund Mochnacki, prezydent miasta Lwowa.

Władysław Łoziński, delegat Wydziału krajowego.

Dr. Antoni Małecki, emeryt. profesor ck. Uniwersytetu i radny miasta Lwowa.

Karol Schayer, radny miasta Lwowa.

Józef Kotarbiński, reżyser teatru miejskiego w Krakowie.

Emil Förster, radca ck. Ministerstwa we Wiedniu.

Sławomir Odrzywolski, architekt i profesor szkoły przemysłowej w Krakowie.

Józef Dziekoński, architekt w Warszawie.

Julian Zachariewicz, architekt i profesor c. k. Politechniki we Lwowie.

Józef Janowski, architekt i radny miasta Lwowa.

Juliusz Hochberger, dyrektor miejskiego urzędu budowniczego we Lwowie.

We Lwowie dnia 29 listopada 1895.

Redaktor odpowiedzialny, Wacław Masłowski. Papier z fabryki Czerlańskiej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Hodak.